№ 51 Warszawa, dnia 8 (20) Grudnia roku 1879.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w roku przyszłym 1880 wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może. Zaraz z pierwszym numerem rozpoczniemy druk powieści dwutomowéj p. t. **Eugenia Lawal**, napisanéj oryginalnie przez Kazimierza Gregorowicza, osnutéj na tle życia społeczności francuzkiéj i na dokumentach urzędowych. Później pomieścimy drugą część Obrazków Warszawskich p. t. Błędne drogi.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w roku przyszłym 1880 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie, ulica Chmielna N. 20.*

Z Hejnego.

Na błękitnéj nieb przestrzeni
Miga złotych gwiazd gromada,
Ziemia śpi wśród nocnych cieni,
Nasępiona, cicha, blada,

W ciszy drzemie bór ponury,
Tuman wznosi się nad rzeką,
Cień olbrzymi pada z góry
I szeroko i daleko.

Tylko w sercu mojem dziwy,
Jakiś chór, muzyka, dźwięki:
Czy to głos kochanki tkliwy?
Czy słowiczéj ton piosenki?

Autor pamiątek z Litwy.

SYN PUSZCZY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Fryderyka Halma.

Przełożony z niemieckiego

przez

Józefa Grajnerta.

(Dalszy ciąg).

Ingomar.

Powiedz, jakże
Postanowiłeś?

Miron.

Weź tylko na rozum,
Wiem, żem wdzięczności winien ci niemało;
Lecz słuchaj, ze mnie tylko płatnerz biedny,
Więc gdybyś u mnie gościł, to musiałbyś
Ciężar ubóstwa, troski ze mną dzielić,
Włożyć się w nasz ład i domowy zwyczaj.

Ingomar.

Włożę się chętnie.

Miron.

Wypadłoby najprzód
Tę skórę zrzucić.

Ingomar.

Dobrze, tak się stanie!

Miron.

Brodę i włosy przystrzydz.

Ingomar.

Brodę, włosy!
Jako wolnego pochodzenia znamię
Rosną tam u nas wolno mężom wolnym;
Lecz moja wolność... dobrze więc, przystrzygę!

Miron.

Wiem, to wasz zwyczaj.
(do siebie)
Tak się już ugłaskał,
A był tak dziki jak strachliwy rumak!
(głośno)
To tak z ubraniem, teraz słuchaj dalej!
Mam pola, łąki, a także winnicę
Na wzgórzu; to też trzeba się uporać
Z pługiem, grabiami tu i owdzie, przeto
I tybyś musiał.

Ingomar.

Lecz przecie nie orać
Lub grabić, służbę niewolników pełnić,
Jak kret lub borsuk wkopywać się w ziemię?

Miron.

A jakżeż u was?

Ingomar.

U nas li niewolnik
Ima się pługa, jemu to przystoi,
A ty mnie zrobić chcesz swym niewolnikiem,
Do stu piorunów.

Miron.

Ejże, zwolna, zwolna!
Bogi niech świadczą, nie chcę nic od ciebie;
Wszakże sam pragniesz przerobić się w Greka;
My zaś jesteśmy rolniczym narodem,
Jak ściśnie bieda wszyscy idziem w pole,
I ja i moja kobieta Aktea,
Nawet ta oto, wszyscy się garniemy.

Ingomar,

Partenia, mówisz.

Miron.

No, a któżby! Ona
Zwija się dobrze, jak druga.

Ingomar.

Co, Partenia!
I ona. W gruncie rzeczy. praca każda
Jestto nic; zamiar tylko ją podnosi;
Zgoda, do tego też się włożę!

Miron,

Ano,
Gdy tak jest, to i do kowadła pewnie
Rękę przyłożysz, by ze mną kuć miecze.

Ingomar.

To mi po myśli! Tam moc na moc idzie;
Stal trzaska, syczy pod obuchem młota!
Héj, kować miecze musi być rozkosznie,
To tak jak mieczem wywijać.

Miron.

Wywijać!
Mieczem wywijać! Nie, tam tego nie ma;
My naród cichy, spokój kochający;
To też ja myślę, że postąpisz dobrze,
Gdy miecz swój dasz mi.

Ingomar.

Mój miecz?

Miron,

Nie inaczéj;
Surowo karzą tych, co do Massalii
Wchodzą z orężem; oddaj mi go zatem,
Chcę cię ochronić!

Ingomar.

Ja mam miecz swój oddać!
Mój miecz, spuściznę ojców.
(zerwawszy miecz z pendenta i trzymając go przed Mironem gwałtownie)
Miecz ten
Co mi obronę, zwycięztwo, łup dawał,
Miecz ten od boku mam oderwać swego.

Miron (cofając się bojaźliwie przed Ingomarem).

Partenio.

Ingomar.

Miecz ten ja ci oddać mam!
Wpierw chyba krew mą, wpierw bym zginął sam!
Jam jest mym mieczem, mąż jest to, co miecz:
Niech mi sprobuje wziąć mi go ztąd precz!

Partenia (która dotąd na boku rozmawiała z Elpenorem, postępując naprzód).

O co tu zwada?

Miron.

Nie chce oddać miecza,
A wiesz jak ostra kara czeka tego,
Kto do Massalii przychodzi z orężem!

Partenia.

Kto chce dojść końca, musi zacząć przecie!
(podchodzi do Ingomara, i odebrawszy mu miecz z dłoni, oddaje go Mironowi)
Ot miecz, a teraz słońce już zapada,
Tęsknię do matki, pójdźmyż razem, żywo.

Miron.

I miecz swój oddał. Tak. To istne dziwo!
Tyś wolna... ten miecz... Lecz idźmy, kochanko,
Żeby twą matkę pocieszyć najprędzéj!
Elpenor, dzielnym rybakom me dzięki,
Już ich pomocy nie żądamy teraz;
I pójdźmyż, pójdźmy!
(wychodzi z Elpenorem i Partenią na prawo w głębi sceny).

Partenia (mając się ku wyjściu odwraca się).

Zwlekasz, Ingomarze?

Ingomar.

Jak, Ingomarze! Mnież to tyczy? Jestżem
Ja Ingomarem? Myśli mi się mącą,
Czuję z pod stóp mych ziemię uchodzącą,
Czém byłem niegdyś, ledwie o tem marzę!
(Podczas gdy zwolna za odchodzącymi postępuje, zasłona spada).

AKT V.

Scena jak w Akcie pierwszym.

Elpenor (wychodząc z domu Mirona i mówiąc po za siebie).

Nie zwłócz, Mironie. Pójdź, tam cię czekają!

Miron (pokazując się na schodkach domu).

Jestem już, zaraz pójdę z tobą;
Tylko roboczą, brudną szatę zrzucę,
By jak przystoi zjawić się przed radą.
(wołając do wnętrza domu).
Aktea, prędko pas i płaszcz mi podaj.

Elpenor.

Ja przodem pójdę oznajmić, że idziesz.

Miron.

Nie zostań, powtórz jeszcze, czy to prawda,
Co jak trup blady szepnąłeś mi w ucho?

Elpenor.

Wzgórza się roją wkrąg Tektosagami,
A ciebie na wiec wołają Ojcowie!
Tak jest jak rzekłem!

Aktea (wyszedłszy tymczasem z domu z Partenią, niesie pas Mirona).

Wielkie bogi, cóż to?
Co wy mówicie?

Miron.

Czy to kobiet sprawa?
Płaszcz mój, Partenio!

Aktea.

Mironie nie skrywaj!
Czy Tektosagi są już u bram miasta?

Miron.

Eh! cicho, cicho! Jeszcześ ich tu nie ma,
I gdy im zdrada nie otworzy zapor...

Aktea.

Ależ otworzy! Wszędzie zdrada mieszka;
Toż oni znajdą i tu pomocników,
Z pewnością znajdą. Tak jest i być może
Już ich znaleźli.

Miron.

Co, już ich znaleźli,
Zdrajców, powiadasz?

Aktea.

Alboż darmo w ogniu
Tak zatrzeszczało na kominie, gdy on
Próg nasz przechodził! Był to znak, by strzedz się,
A my niebaczni...

Elpenor

To o Ingomarze,
O Tektosagu, twym uczniu, tak myśli.

Miron.

O nim tak myślisz? No, to nie ma strachu!

Partenia.

Nie; on nie zdrajca, nie żaden szpieg!

Miron.

Słusznie,
Ingomar prawy, zawsze ten sam; o tém
Wié, kto go widział przy pługu, kowadle;
On krzepki, a ten fałszywym jest tylko,
Kto słaby; nie trać więc ducha.

Elpenor.

Pójdźże już:
Tam cię czekają!

Miron (na wpół pociągnięty przez Elpenora).

Cicho bądź! Strachami
Niebywałemi głowy sobie nie mąć!
Wiem ja, Ojcowie ciągną mnie na radę,
Jak tego który zżył się już z dzikimi;
Więc miéj otuchę! Jak się zawsze znajdzie
Trzonek dla młota, tak i tu znajdziemy
Rączkę i korbę! Ja najmniéj, doprawdy,
Ja się nie lękam Tektosagów wcale!

Znam już tych ptaszków.

Elpenor (ciągnąc go ku wyjściu).

Pójdźże, mówię, pójdź już!

(obaj wychodzą na lewo w głębi sceny)

Aktea.

On sobie idzie, a mnie strach pożera!
Wrogi przed bramą! Nagle tam przed Radę
Wezwany! Kto wié, może nie na radę,
Lecz do rachunku z swéj głupoty idzie
Prosto na karę.

Partenia.

Nie trapże się matko!
Wszak z woli Ojców Ingomar jest u nas,
Wyraźnie na to przyzwolenie dali.

Aktea.

Czemuż to zrobił, że go w dom swój przyjął,
Wiem ja, on w dom nasz nieszczęście sprowadził.

Partenia.

Przeciwnie, wszak on dziecko ci sprowadził.

Aktea.

Tak zrobił, ale czyż niegdyś ci mieczem
Nie błysnął w oczy, czyż nie powlókł ojca
Jak niewolnika w bór swój? Cóż dobrego
Przyjdzie nam z niego? Nie, sam widok jego,
Włosiska długie, brodzisko zjeżone,
Ścisły mi serce.

Partenia.

Teraz to oboje
Przystrzygł po grecku

Aktea.

Dzieci po ulicach
Za nim wołały: patrzajcie, Faun, Satyr,
Bo ciało kryła mu skóra kudłata.

Partenia.

Wszakże dziś chodzi ubrany jak wszyscy.

Aktea.

Tak, grecki jego kaftan i klamyda;
Lecz chód, postawa, głos o twardem brzmieniu,
Zuchwały, ostry wyraz w oczach, w mowie,
Są i zostaną barbarzyńcy znakiem!
Choć zrzucił skórę zwierza, został dzikim,
I wyziew borów wiecznie go się czepił.

Partenia.

Tak być musiało, bo moc, wolność, śmiałość,
Jako te bory wyziewa duch jego.

Aktea.

Moc to niedźwiedzia! Czyż dzikus w zapasach
Na tych igrzyskach, w święto Artemizy,
Nie zdusił prawie przeciwnika swego,
Innego cestą *) zabił w ręcznéj bójce.

Partenia.

A czyż nie zabił i wilka, co długo
Kraj nam pustoszył, a z portu w te czasy,
Gdy łódź Lyzyppa szła z burzą w zapasy,
Kto się odważył ją schwycić jak cudem?
Kto, jeśli nie on, przy kowadle, pługu
Starego ojca wyręcza swym trudem?

Aktea.

Tak, on to zrobił także! Wiem ja, to też
Dufa w to bardzo, na mnie ledwie baczy!
Ja zaś, choćby się miał za czyste złoto,
Nie zmienię zdania, ja się go obawiam...
On jest szpieg wrogów on wierutny zdrajca;
W oczy mu sama to powiem! Gdzież on jest,
Skrył się.

(woła w stronę domu)

Ingomar!

Partenia.

Ach, matko daj pokój!
Na wszystkie bogi szanuj prawa gościa;

*) Pięść uzbrojona w kolce.

Zdrada i chytrość obce sercu jego!

Aktea.

Przestań.

(wołając)

Ingomar! Będziesz widzieć sama,
Jak się przestraszy, przerazi, zczerwieni;
Niech potem co chce, stanie się! Ingomar!

Partenia.

O, jak dziecięcej duszy nie znasz jego,
Szczerego serca.

Ingomar (wyszedłszy z domu i po schodach schodząc).

Jestem! Czy mnie wołasz?

Aktea.

Idziesz nareszcie! Trzykroć muszę wołać.

Ingomar.

Biłem w kowadło i nuciłem piosnkę,
Ta więc przyczyna.

Aktea

Piosnkę. Tak, istotnie
Radość ujrzenia swoich każeć śpiewać;
Co? albo nie wiesz, że już Tektosagi
Wkoło oblegli miasto?

Ingomar.

Tektosagi!
Nie, oni tędy przejdą tylko mimo
W kraj Allobrogów; bo strony te właśnie
Poscanowili najść zbrojnie.

Aktea.

Istotnie!
Rozbój i napad na kraj Allobrogów!
Ty zaś skorzystasz pewnie z dobréj chwili,
By swych przyjaciół tam odwiedzić.

Ingomar.

O, nie!
Cóż ja mam z nimi! Idą swoją drogą,
I ja też swoją.

Aktea.

Tak! Są przecież ludzie,
Co myślą, szepczą, utrzymują nawet,
Że ty masz z nimi wspólną drogę!

Ingomar.

Jakto,
Wspólną mam drogę?

Aktea.

Tak jest, mówią nawet,
Żeś tu się zakradł w tym tylko zamiarze,
By im otworzyć drzwi i bramy.

Ingomar.

Że ja...
Któż to rzekł?

Aktea.

Ja, ja, twarzą w twarz ci mówię,
Żeś ty jest szpiegiem, że ty jesteś zdrajcą!
Tak, jesteś.

Ingomar (szybko przybiegając do Aktei).

A ja rzeknę ci, kobieto...
Nie!
Nic ci nie rzeknę!

(odchodzi do domu)

Aktea.

Idzie. Milcząc idzie,
Szydzi z mych gniewów! Bo on to uważa
Niegodném trudu, by mi dotrwać w słowie,
Zuchwały! Ja go tylko prosić mogę,
Ja, Mironowa małżonka, Massalii
Obywatelka,

Partenia (podchodząc ku domowi i wołając do wnętrza).

Ingomar!

Aktea.

Wołasz go,
By mnie powtórnie zgryzł dzikością swoją?

Partenia.

Nie, by odpowiedź dał ci, by ci dotrwał
W słowie.

Aktea.

Już teraz odpowiedzi nie chcę,
I choćby... na cóż w myślach tonąć? Pewnie
Nad głową ojca wisi groza, a ja,
Mnie coś na zamek pcha, tymczasem słuchaj
Słów Ingomara, wierz mu jak zazwyczaj,
Oby złe od nas odwróciły bogi!
Ja znam go; mnie on nie oślepi nigdy!

(wychodzi na lewo w głębi sceny).

Partenia (smutnie tam i napowrót chodząc).

Odeszła gniewna, on wszystkiemu winien,
On sam, czyż zato, że go matka krzywdzi.

(Ingomar wyszedłszy z domu schodzi zwolna po schodkach ze spuszczoną głową)

Ot i on. Zbliż się! powiedz, mi, czy nie wiesz,
Że u nas zwyczaj dawno już uwolnił
Żonę z niewoli, porównał ją z mężem
W udziale wspólnym przyjaźni i prawa?

Ingomar.

Wiem; to korzystajcież z tego!

Partenia.

Czym ci przeto
Żony Mirona, mej matki szanować
Wciąż nie kazała? Lub czy zwiesz szacunkiem
To, że się od niéj tyłem zwracasz krnąbrnie?
Mów, czym cię często nie uczyła tego,
A gdym uczyła, czemu w pokrzek idziesz?

Ingomar.

Uczyłaś, ale mówiłaś mi także:
Jeśli twa matka, jak zwykle w starości,
Swarząc się przykrość wyrządzi mi kiedy,
Tom winien zmilczéć i odejść na stronę!
Więc też odszedłem, milcząc!

Partenia.

A czyś nie mógł
W oczy jéj cicho i pogodnie spojrzeć,
Mówiąc spokojnie: Nie, tyś w błędzie; szpiegiem
Nie jestem, ani zdrajcą! Lecz tyś wolał
Jak zawsze puścić swym popędom wodze,
I mnie skazałeś na jéj cierpką niechęć!

Ingomar.

I ty się na mnie gniewasz?

Partenia.

Raz się naucz
Brać ludzi, jak są, i nim powiesz słowo,
Wagę i miarę jego wprzód rozważyć.

Ingomar.

Próżna nauka! Wieleż zniosłem trudu,
Jak nie wrażałem sobie w serce słów twych,
I powtarzałem je, kładąc się do snu,
W kuźni i w polu przeżuwał to samo,
By w życie wasze co prędzéj się włożyć,
Sprawność i grzeczność, wasz obyczaj przejąć!
Darmo, jam nieuk!

Partenia.

Nie trać serca, dość się
Już poduczyłeś.

Ingomar.

O, wy bory moje!
Tam serce w słowach wagę swą wybija,
Czyny z myślami zgodne są i szczere;
Wy zaś wtłaczacie w foremki swe życie,
W owo: Dzień dobry! Do usług! Śmiem prosić!
Wy to wytwornem, pięknem, godnem zwiecie!
Ja tak nie umiem, i umiéć nie będę;
Co mną porusza nienawiść lub miłość:
Boleść lub radość, to z ust moich płynie,
To mi drga w licu, to iskrzy mi z oczu!
Takim zostanę! Jestem tém czém jestem,
Innym nie będę!

Partenia.

I nie masz potrzeby;
Nie chcę cię innym widzieć, niźli jesteś;
Jam temu rada, że co twoje oczy,
Twe lica, usta mówią, jest prawdziwe,
Wszystko istotne, głęboko poczute;
Lecz i otwartość cnéj duszy wymaga
Ograniczenia! Widzisz, tyś już wiele
Nabył, szanujesz prawo i porządek,
Zrzekłeś się służby dla krwi żądnych bogów
Na rzecz wytwornéj wiary mego ludu;
Jesteś już z serca Grekiem, i brak tylko
Wdzięku, symetryi w obyczajach twoich,
Lecz i to przyjdzie. Kto z szorstkich kamieni
Do życia wzbudził obraz bóstwa, pewnie
Ten się nauczy jeszcze marmur gładzić!

Ingomar (zbliżając się do Partenii).

A gdy przez naukę i to już osiągnę,
Partenio, wtedy...

Partenia (cofnąwszy się o krok).

Jeszcze nie znasz tego,
Jeszcze nie prędko to poznasz.

Ingomar.

Patrz, taką
Tu jesteś! Zamiast ucznia chęć nagrodzić,
Ty coraz daléj metę mi usuwasz;
Tak jest, odbierasz, coś już przychyliła!
Ongi, szukałaś mnie, pociechę niosłaś,
Śpiewała pieśni, baśń za baśnią działa;
Dziś mię odpychasz, uciekasz ode mnie.'

Partenia.

A czyż i teraz nie rozmawiam z tobą!
I to masz poznać, jak trzeba z wdzięcznością
Ochoczo z chwili korzystać dogodnéj.

Ingomar.

Tak, mówisz do mnie, patrzysz oko w oko;
Żegnam, co było, co się stać ma witam!
Chcę nie za sobą, lecz przed siebie patrzéć,
Upojon wzrokiem, w twém oku wzrok topię!

Miron (za sceną).

Partenio, hola!

Partenia.

Słyszysz, to mój ojciec!

Miron (zrazu za sceną, potem ze śpieszącą za nim strwożoną Akteą, wchodząc).

Hejże, Partenio! Słyszysz!

Partenia.

Jestem ojcze!

Miron.

Ha! A Ingomar? Także tu! No, dobrze.

Aktea.

Cóż to jest? Powiedz! Co cię jak bez zmysłów
Pędzi przez miasto? Czyż się wreszcie dowiem?

Miron

Powietrza! Dajcie mi tchu złapać! Wiedźcież,
On tu wnet przyjdzie.

Aktea.

Kto czy wróg?

Miron.

Co tam wróg!
Nie wróg, lecz jego łaskawość nasz Timarch
O Ingomara przyjdzie,

Aktea.

Ha, widzicie;
Czyż nie mówiłam, że z nim przyszło licho!

Miron.

Pleciesz trzy po trzy; on nam przyniósł właśnie
Cześć i szacunek! Ale otóż oni;
Wy idźcie do dom; a ja ztąd pośpieszę,
By go powitać w drodze.

Aktea.

Cześć, szacunek!
Serce mi bije niby młot kowalski!

(*d. n.*)

Zagadka natury.

NOWELLA

Ernesta Ecksteina.

(Dalszy ciąg).

— Tłomacz się jaśniéj.

— Otóż cała nasza metoda, nasza *ars vivendi* ma na celu przyspieszenie ostatniéj godziny... Podkopujemy systematycznie nasze zdrowie.

— Tak się zdaje! odrzekłem mimowolnie westchnąwszy—I ty sądzisz na seryo, iż mógłbym się zdecydować?

— Głupcze!—przerwał mi—więc i ty trzymasz się starych dziecinnych przesądów! Więc i ty obliczasz wartość życia, według jago długości! Więc i dla ciebie lepsze są dwadzieścia lat w więzieniu, niż cztery na wolności! Smutna logika! Lecz twoje urojenia łatwe do przebaczenia! Prawdziwego życia jeszcześ nie zakosztował. Jeden tylko wieczór spędzony u „przyjaciół śmierci" nauczy cię czegoś lepszego... Chcesz iść dziś ze mną?

— Wprzód powinienem przecież wiedzieć...

— Ach! ty nie odgadujesz? Czyś nigdy nie słyszał o tym orientalnym czarodziejskim środku, co człowieka bóstwem czyni, o téj tajemniczéj substancyi, co wypływa z łodyg konopnych, a nazywa się haszyszem. Przyjaciele śmierci używają haszyszu.

— O nieszczęśliwy! zawołałem drżącym głosem. Jak to? tu w ognisku niemieckiéj energii i trzeźwości dopuszczacie się zbrodni, która barbarzyńcom wschodu wydaje się zbyt barbarzyńską? Tu gdzie wszystko rozwija się i kwitnie i jaśnieje; rzucacie się w ramiona rozpaczy, szaleństwa?

— Milcz! odrzekł stłumionym głosem. Rozpacz, szaleństwo chwyta nas bez naszego przyczynienia się. Przyjaciele śmierci usiłują tylko wyrwać się ze szponów furyi. Fałszujesz fakt. Zresztą nie możesz wydawać bezstronnego wyroku. Nie znasz nymfy, któréj wdzięki spotwarzasz. Raz jeszcze idziesz ze mną?

— Cóż cię znagla, abyś mnie skłonił do kroku, od którego błogich skutków trudno się spodziewać. Wzruszył ramionami.

— Żal mi ciebie... moja dobroć nieograniczona... Nadto każde stowarzyszenie lubi propagować swoje zasady.

Wahałem się: z jednéj strony trawiła mnie niepohamowana ciekawość, z drugiéj znów drżałem ze strachu, aby mi nie przypadła do smaku ta straszna trucizna. Ależ nie, na taką siłę woli zdobyć się mogą. Zresztą, czyliż nie ode mnie jedynie zależało być bezczynnym widzem, albo też na seryo wziąć udział w „porządku dziennym". Zgodziłem się więc i przyrzekłem niebezpiecznemu przyjacielowi, wprawdzie nie bez pewnéj trwogi, iż o godzinie w pół do ósméj wstąpię do jego mieszkania. Zwrócił moją uwagę, iż najściślejsze milczenie rozumie się samo przez się, i podał mi rękę z wiele znaczącym uśmiechem.

— Do widzenia! rzekł przygasłym, stłumionym głosem. Rozmowa widocznie zmęczyła go. Wkrótce znikł w tłumie wśród alei.

Usiadłem znów na ocienionéj ławce i przez czas jakiś bezmyślnie patrzałem przed siebie. Naraz zerwałem się na równe nogi, przesunąłem parę razy ręką po czole, i przyrzekłem sobie za jakąbądź cenę stłumić smutne myśli, jakie wzbudziła we mnie sprzeczka z Teodorem. Powinienem był wejść do kółka tych nieszczęśliwych o ile możności rzeźwym i silnym, najmniejszy odcień melancholii groził niebezpieczeństwem.

Udało mi się, chociaż niezupełnie, zawładnąć burzą miotających mną wrażeń. Usiłowałem na różne sposoby zwrócić moją uwagę na inny przedmiot. Jak ciekawy prowincyonalista jaki z Prenzlau albo Hawelberga przypatrywałem się eleganckim powozom, które z prawéj i lewéj strony po bruku się toczyły. Potem zatopiłem się cały w oślepiającym przepychu wystaw sklepowych po oknach. Bacznie studyowałem zbiorowe fotografie tancerek, śpiewaczek i sławnych generałów. Unosiłem się nad rysunkami prześlicznych wachlarzów i szczególniejsze, prawie gorączkowe, zajęcie okazywałem dla pozłacanych galanteryjnych wyrobów. Wreszcie zapełniłem wyobraźnię szeregiem przeróżnych obrazów, ale cóż z tego, kiedy z pośrodka nich wciąż ukazywała mi się z zapadłemi policzkami nieszczęśliwa postać mojego przyjaciela, który mnie w gościnę zaprosił do stołu przyjaciół śmierci. Napadła mnie jakaś niecierpliwość nerwowa, jakiś niepokój, którego przy całéj subtelności psychologicznéj analizy oznaczyć nie umiałem. Przez trzy godziny włóczyłem się bez celu wśród ulicznéj wrzawy Fryderykowego grodu, aż wreszcie natura upominać się zaczęła o prawa swoje. Głód i znużenie zmusiły mnie, iż przypomniałem sobie o zapomnianym zamiarze i wstąpiłem do restauracyi.

Przeglądałem dzienniki, artykuły wstępne, korespondencye, fenilletony, rozpatrywane przez lupę mojego usposobienia, miały tę jedną nieprzebaczalną wadę, iż były za długie, przełożyłam więc nad nie „rozmaitości" i ogłoszenia. Nagle, wzrok mój apatyczny zatrzymało pewne ogłoszenie urzędowe, które naraz wszystkie moje siły żywotne w ruch wprawiło. Czytałem.

„Ogłasza się konkurs na mieniu białoskórnika Fryderyka Lachmanna, ulica Belle-Alliance N. **. Wzywa się więc wierzycieli, aby najdaléj do d. 18 b. m. pretensye swoje okazali i udowodnili przed sądem miejskim spraw konkursowych. Berlin dnia 1 maja 1872 r.

— A więc i ty Brutusie!? z westchnieniem mówiłem do siebie. Któż się mógł tego spodziewać przed pięciu laty! Przypominam sobie jeszcze twoje górnolotne plany, twoje różowe nadzieje! Marzyłeś sobie żeś już wpłynął do portu; piękna kamienica pięciopiętrowa nie mogła cię minąć... Twoja Klarcia była świetną partyą... A sam jako „rentier" widziałeś się pomieszczonym w kalendarzu adresowym. Jakże często wypowiadałeś mi z miłym uśmiechem, coś dopatrywał w zwierciadle przyszłości... a teraz? Zawsze podły ten świat, niech jak chcą upiększają go sobie optymiści. Nie zasłużyłeś na taki upadek, zacny Fryderyku! Byłeś pilny, oszczędny, zabiegliwy i poczciwy, więcéj jak ktokolwiek inny. Być może właśnie dla tego runąłeś w przepaść! Biedny, prawy człowieku!

Kelner przyniósł mi zupę.

— A jak mi żal Klarci! daléj prowadziłem z sobą rozmowę; łagodne, o blond włosach, prześliczne dziewczę, a serce jakie złote, ufające. Ach, to straszna dola! Tak kochała ojca, tak do niego była przywiązaną! Zapewne pod tem brzemieniem bardziéj cierpi od niego.

Zamyślony, bezwiednie opróżniłem talerz. Potem wydobyłem zegarek.

— Trzy kwadranse na trzecią. Za jakie pół godziny będę gotów. Odwiedzę poczciwych ludzi. A jeźli im pomódz nie potrafię, to zawsze pociesza szczere współczucie... Może uda mi się trochę ją rozerwać... Mamy tak prześliczną pogodę, ot zaproszę ją na przejażdżkę do Charloltenburgu...

Uśmiechnąłem się zadowolony i przytknąłem do ust pieniący się kufelek, lecz zaledwiem go upił, zmarszczywszy brwi usunąłem na porcelanową podstawkę.

Przekleństwo! O wpół do ósméj czeka na mnie Teodor. Zapomniałem zupełnie o téj szalonéj „clique dorée“ i o jéj haszyszowem upijaniu się. W pół do ósméj. Nie, to byłoby celowi przeciwne rozdwojenie. Odłóżmy więc na jutro Klarcię i Charlottenburgską wycieczkę. O! Teodorze możesz być dumnym z mojéj sumienności. Człowiek z innym charakterem z pewnością osadziłby cię na koszu.

Mówiąc nawiasem było to maleńkie oszukanie samego siebie, ale to tak przyjemnie głaszcze nas po sercu, gdy stawić się możemy jako dowód dobrowolnéj punktualności. Rzeczywiście zaś, moje zainteresowanie się „przyjaciołmi śmierci“ nie zmniejszyło się ani na włos, to też znikł mi z przed oczu zarówno Charlottenburg, jak zbankrutowany białoskurnik i jego jasnowłosa córeczka.

Resztę dnia spędziłem w przykréj bezczynności. Trzy razy czy cztery wracałem się do mego mieszkania, sam nie wiedząc właściwie po co. Cztery, czy pięć razy przeszedłem się pod Lipami od bramy aż do posągu i „vice versa, nie mogąc zdać sobie sprawy choćby najodleglejszego celu téj jednostajnéj promenady. Wreszcie skryło się słońce za obrosłe świerkami wzgórze czcigodnéj Westy Spandau; dzwon kościoła Ś-téj Doroty zwiastował melacholicznie siódmą godzinę wieczorną.

— Dzięki Bogu! odetchnąłem z westchnieniem: jużem się obawiał, czy Helios nie wszedł dziś na fałszywą drogę.

Tym żartem filisterskim zacieniowanym klasycznie, chaiałem złudzić sam siebie, żem w najzwyczajniejszym humorze. Wszelako serce mi biło przyspieszone allegro, gdym zbaczał teraz na ulicę Wilhelmowską, i w jakie pięć minut zatrzymałem się przed wspaniałym domem, zdobnym w bogate ornamenta.

Tu więc mieszka posępny gardziciel życia, zrozpaczony szyderca, który z otwartemi oczami rzuca się w przepaść.

Wszedłem do bramy, jakże dziwną wydała się ta zbytkowna elegancya z rozpaczliwą filozofią, o któréj dziś przed południem posłyszałem wśród szumu drzew w alei? Szerokie, marmurowe schody wysłane miękiemi, wspaniałemi kobiercami, zdawały się być przeznaczone dla lekko stąpającéj wesołości i rozkoszy życia. Bronzowe lwie głowy ballustrady pysznie wyglądały między arabeskami wykutemi z żelaza. Ściany pomalowane al fresco na sposób pompejański, połyskiwały blaskiem wieloramiennych kandelabrów, tak pięknie, tak rozkosznie, w znaczeniu tego wyrazu najbardziéj upajającem, iż zdawało ci się na chwilę, że w saméj rzeczy, wśród gry tylu jaskrawych kolorów, przeniosłeś się do starorzymskiéj zatoki, owych błogosławionych przybytków, gdzie życie było nieprzerwanym ciągiem upajających marzeń, tańców i nocnych bachanalii.

Stary, posępny sługa drzwi mi otworzył. Gdym się zapytał o Teodora, odpowiedział mi grzecznie wprawdzie, lecz takim tonem, który mi kazał się domyślać, iż bierze mnie za jednego z „tajnych“ towarzyszów swojego pana. Dość mi było spojrzéć na zachmurzoną, lecz poczciwą twarz sługi, aby jasno wytłomaczyć sobie cały stan rzeczy. Stary widocznie był spadkiem rodzinnym; kochał swojego panicza z przysłowiową wiernością tego gatunku ludzi, i że smutném oburzeniem patrzył, jak ta młodą płonka, niegdyś tak pełna nadziei, więdła bez żadnéj widocznéj zewnętrznéj przyczyny. Instynktowo przypisywał on straszną przemianę młodzieńca towarzystwu „uwodzicieli“, a gdy raz zagnieździły się już w jego wyobraźni te demoniczne postacie, to już każdy co próg przekraczał, jeśli uderzająco przeciwne nie odznaczały go znamiona, wydawał mu się podejrzanym... Wszystko to poznać było można po tonie jego głosu, i po tem przymrużonem spojrzeniu, jakim mnie mierzył. Ileż to razy, z uniżoną nieśmiałością, poczciwa ta dusza zwracać musiał uwagę swojego młodego pana na niepojętą bladość jego twarzy. Jakże często potrząsając smutnie głową gawędził o pięknych dniach przeszłości a w odpowiedzi otrzymował szydercze wzruszenie ramionami, albo napomnienie: Gotfrydzie, nudzisz mnie!

Teodor przyjął mnie z wytworną grzecznością, w któréj jednak przebijała się ironia. Prosił mnie siedzieć, i sam usadowiwszy się wygodnie, podał mi cygaro hawańskie.

Przez kilka minut milcząc, siedzieliśmy na przeciwko siebie. Puszczając ku sufitowi błękitny dymek z cygara, przypatrywałem się najbliższym przedmiotom, które mnie otaczały.

Pokój był gustownie, bogato a nawet wspaniale umeblowany. Pomimo tego panował tu jakiś dziwny nieporządek. Na jednéj z kozetek, pokrytych damaszkiem ciemno niebieskim, leżała potężna gromada na w pół porozdzieranych książek, a między niemi różne części ubrania. Kosztowne zwierciadło nad kominem szpeciły plamy, jakby ktoś umyślnie oblał je mętami. Na pięknych wyzłacanych obiciach postrzegłem ślady jak od uderzenia kijem albo pręcikiem. Kobierzec pod nogi był zbryzgany atramentem.

Teodor zdawał się mnie obserwować. Bawiło go moje pomieszanie, z którem zdradzałem się mimowolnie. Rzucił cygaro, ziewnął a potem rzekł z lekceważeniem samego siebie, które mu było właściwe:

— Śledzisz symptomata rozpoczynającego się zmiękczenia mojego mózgu.

— Wstydź się, rzekłem oburzony. Dopiero od kilku godzin dałeś mi rozpaczliwe próby uszczypliwéj ostrości sądu.

— A więc mówmy o symptomatach uszczypliwości mojego sądu.

— Ależ ja tu nie widzę żadnych symptomatów, chyba to jedynie, że ze swojem eleganckiem mieszkaniem wcale nie obchodzisz się ze zbytecznym respektem.

— Ba... nie chcę przynajmniéj, żeby mnie tyranizowało... Jeszcze czego brakuje, żeby nas gnębiły nasze meble, jakby nieuniknione jakie siły natury! Zresztą stałem się trochę nerwowym... Ot, tamte książki, dziś zrana poszarpałem, gdym wrócił do domu. Dlaczego sam nie wiem. Czułem potrzebę niszczenia, inaczéj rwałbym własne ciało... A plamy na lustrze datują się od popołudnia. Stary podał mi kawę. Pijąc ją postrzegłem moją twarz przeklętą, jak się wykrzywiała do mnie z ram złoconych. Nie mogłem przecież rzucić sobie w twarz filiżanką, oblałem więc swój wizerunek... Widzisz, że wszystko tłomaczy się bardzo naturalnie... Nerwy wśród pewnych stosunków łatwiéj się buntują, niż u was ludzi pospolitych.

I cóż miałem odpowiedziéć? Westchnąwszy, kiwnąłem głową i pociągnąłem sporą dozę dymu, który zwolna wypuszczałem przez zaciśnięte prawie usta. Jest to wyborna metoda; kiedy się jest, jak to mówią Francuzi „au bout de son latin.

Teodor spojrzał na zegarek.

— Idziemy? zapytał wahająco.

— Dwadzieścia minut prawie przyszedłem za wcześnie, odrzekłem nieco zakłopotany.

Myśl, że moją przesadną punktualność mógłby sobie źle wytłomaczyć, była mi nieprzyjemną pod każdym względem.

— Lepiéj wcześnie, jak zapóźno, rzekł z uśmiechem. Przyjaciele śmierci nie pozwalają na kwadrans akademicki.

Powiedziawszy to, udał się do obocznego pokoju. Przejrzałem kilka albumów i tek, które w nieporządku wcale nie artystycznym leżały na kominku. Niejedna znajoma twarz powitała mnie z tych papierowych ramek, niejednego ujrzałem poczciwego koleżkę, z którym się tu i owdzie wesoło czas spędzało... Uważałem jednak, że na boku niektórych wizerunków wyrysowany był krzyżyk z trupią główką. Nawet moją fotografią w ten dziwny sposób odznaczono.

— Dlaczego jeszcze za życia liczysz mnie w poczet umarłych? zapytałem Teodora, gdy gotów do wyjścia, ukazał się z drugiego pokoju.

— Jak to?

Wskazałem na owe niemiłe hieroglify.

— Aha! odrzekł wesoło, ta pentagramma nie podoba ci się?

— Cóż wyrażają te znaki?

— Oddzielają owce od kozłów.

— Nic niemówiące objaśnienie.

— No, większość bez krzyża i trupiéj główki wszelkie ma widoki moralnego życia, odznaczeni zaś należą do kategoryi tych, dla których nie ma nadziei...

— Dziękuję.

— Kochaneczku, na nic ci się nie przyda cały wysiłek sztuki udawania! Znam ja cię, jak siebie samego. Już w Bonn wiedziałem, co mam sądzić o tobie. I ty liczysz się do grona tych biedaków, którym żadna gwiazda nie przyświeca. I ty jesteś chory, pomimo twoich muskułów żelaznych, pomimo świeżych kolorów na twarzy, pomimo całéj twojéj energii moralnéj. Choroba duszy nie maluje się tak widocznie w rysach pacyenta jak słabość fizyczna, lecz bystry wzrok wtajemniczonego uwieść się nie da. Chodź. Czekają na nas!

Zwolna przebyliśmy schody. Droga nasza wiodła nas przez najożywieńszą część miasta. Ten ruch, ta wrzawa i krętanina wydały mi się naraz tak dziwne, tak niedorzeczne, iż dreszczem mnie przejęło to moje usposobienie.

Po dwudziestu minutach stanęliśmy na miejscu. Jasno oświetlone schody kręcone przeszliśmy w milczeniu: Teodor zapukał cztery razy do massywnych drzwi, ozdobionych rzeźbiarską robotą. Przestąpiliśmy próg.

Nigdy nie zapomnę niewypowiedzianego wrażenia w téj chwili, choćbym żył nieskończone lata.

Pokój obity na czarno... w pośrodku ostawiony krzesłami stolik, a na nim wszelkiego rodzaju przybory, wkoło przy ścianach czarne, wyścielane kanapy; w głębi jakaś mieszanina ołtarza i bufetu, fantastycznie ozdobiona karafkami z wodą, trupiemi głowami, szklankami i filiżankami: to była zewnętrzna postać zrozpaczonych. Na każdym calu kwadratowym ciemnych obić malowała się jakaś wyrafinowana groza. Skąpe oświetlenie niemało przyczyniało się zapewne do nadania przedmiotom ponurego widoku.

Jakaś chwiejąca się postać powstała, aby nas powitać.

— „Salve morituri!“ rzekł Teodor, przyprowadzam adepta.

Dreszcz zimny przebiegł po mnie od stóp do głów. Blady towarzysz, który wykrzywiając się podał mi

rękę, mógł liczyć około lat czterdziestu. Czaszkę miał łysą; głos jego tak drżał, jakby kto poruszał skostniałe członki skieletu. Teodor obok tego strasznego obrazu wyniszczenia zdawał mi się istnym typem zdrowia.

Byliśmy pierwszymi. Nie upłynęło wszakże i parę minut, gdy całe towarzystwo stół obsiadło: było tego z ośm osób najrozmaitszéj powierzchowności. Dwóch albo trzech z tych nieszczęśliwych, zdawało się, że jak dotąd przynajmniéj zuchwale oparli się zgubnemu działaniu trucizny; postawa ich stosunkowo była silniejsza, cera twarzy nie tak chorobliwa jak u innych. Wszyscy jednak nosili na sobie piętno strasznego duchowego upadku.

Łysy, który nas powitał przy wejściu przygotował kawę. Jednocześnie zaczęto przysposabiać narzędzia do palenia. Było wtedy kwadrans na dziewiątą. Za pół godziny miała się zacząć orgia.

Teodor tymczasem zdawał się wcale nieusposobiony czekać aż nadejdzie właściwy termin. Z przesadnym pośpiechem wziął się do dzieła, jakby chciał mi okazać zasadnicze prawa téj strasznéj rozkoszy. W silnych pociągach ssał piekielne wyziewy, nie troszcząc się o towarzyszy, którzy napominali go, aby wprzód miał mowę zwykłą podczas przyjęcia nowego adepta.

— Moi panowie! jąkałem w przykrem zakłopotaniu. Mylicie się, co do moich zamiarów. Ja... wcale bynajmniéj... nie jestem...

— Milczéć! przerwał jeden z najbliżéj mnie siedzących. A najprzód wiedz o tem że w naszéj świątyni „Ty“ używa się jedynie. Ucywilizowanego „Pana“ zostawiamy przyjaciołom życia.

— Dobrze więc... Chciałem tylko powiedziéć... że nie należę do waszego związku.

— Minos, podaj mu księgę modlitwy... przerwał mi drugi.

(d. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

Zaraz po pożegnaniu Siemiradzkiego Lwów powitał drugiego gościa znakomitego, także już europejskiéj sławy, panią Helenę Modrzejewską. Na tych kilkunastu przedstawieniach, w których wzięła udział pani Modrzejewska teatr lwowski odbył, że tak powiemy próbę siły, wykazywał, ile osób pomieścić się w nim może, jeżeli każde krzesło jest zajęte a loże i miejsca dla stojących wypełnione są aż do uduszenia. Lepsze miejsca były zajęte na tydzień przed pierwszem przedstawieniem i to na cały sezon, inne trzeba było formalnym szturmem zdobywać w kasie w wigilią przedstawienia, najgorsze nawet miały taki popyt, że kto ociągał się do ostatniéj chwili, odejść musiał od kasy z próżnemi rękami. Nieznana u nas dotąd giełda teatralna, handlująca biletami jak towarem lub papierem wartościowym; rozwinęła się na dobre za pobytu pani Modrzejewskiéj i jak mówią opłacała spekulantom sowicie ryzyko i trudy. Przez kilka rąk przechodziły nieraz lepsze bilety i oczywiście każda ręka zatrzymała pewien zysk, w skutek czego cena biletu niejednego urosła bajecznie. Cóż w tém tak dziwnego, że występy artystki, która wsławiła się najpierw w kraju a potém na drugiéj półkuli wypełniły szczelnie całą salę teatralną? Zapewne tak zapyta Warszawianin każdy, przyzwyczajony do tego, że pełna sala jest regułą a pustki stanowią wyjątek, za który publiczność zaraz otrzymuje surowe skarcenie od prasy, aby poprawiła się jak najprędzéj. Proszę jednak pamiętać o tém, co nieraz zaznaczałem w poprzednich korespondencyach: że scena lwowska od dłuższego już czasu popadła w taką niełaskę u publiczności, czy tak mało umie na nią wpływać, że pusta sala stanowi regułę a wieczór, z którego dochód pokrywa wszystkie koszta przedstawienia, należy już do pomyślnych. W takim składzie rzeczy już sam fakt, że teatr na kilkunastu z kolei przedstawieniach był pełny, nawet przepełniony, stanowi dla nas nadzwyczajne zdarzenie a artystkę, która tego dokazała może przejąć słuszną i szlachetną dumą. W kołach teatralnych fakt ten wzbudził nadzieję, że czego nie dokazały ani upomnienia i przedstawiania prasy, ani wysilenia i reklamy dyrekcyi, to sprawiła p. Modrzejewska swojém pojawieniem się na scenie lwowskiéj, t. j. że odtąd publiczność napowrót zasmakuje w teatrze, pogodziwszy się z nim i zacznie wypełniać salę. Spostrzeżenia zrobione na pierwszych przedstawieniach po wyjeździe p. Modrzejewskiéj niebardzo przemawiają za tą wróżbą, ale z pewnych przedstawień nie można przecie wnosić o przyszłości, bo po tak ożywionym sezonie teatralnym, publiczność musi ochłonąć i wypocząć cokolwiek po wysileniach jeżeli nie finansowych to fizycznych w zwykłém tego słowa znaczeniu. Walka o bilet, potém walka z tłumem przy wejściu do teatru, przy wyjściu, szturmowanie fiakrów i t. p. przygody mogły naprawdę wzbudzić w wielu miłośnikach sztuki dramatycznéj pewne przesycenie i potrzebę wytchnięcia.

W chwili, gdy to piszę, pani Modrzejewska bawi w Warszawie i zapewne przypomni się waszéj publiczności w rolach, które sobie u nas wybrała Warszawa, na któréj scenie niepospolity talent pani Modrzejewskiéj doszedł do szczytu rozwoju, najkompletniejszą jest do ocenienia, czy zaatlantycka wycieczka artystki wyszła na korzyść jéj talentu, czy scena amerykańska jest tak wyborną szkołą. Lwowska krytyka, przejęta najwyższym entuzyazmem dla p. Modrzejewskiéj, nie patrzała już na nikogo więcéj na scenie, zbywała zbyt pobieżnie grę artystów i artystek nieotoczonych aureolą sławy amerykańskiéj. Sława p. Modrzejewskiéj nie wymaga tego, żeby dla niéj zapominano o własnych siłach artystycznych. Jako gościowi i do tego jeszcze najznakomitszéj ze współczesnych artystek polskich, należało się niezawodnie p. Modrzejewskiéj honorowe miejsce, ale obok wyrazów uwielbienia dla niéj, koniecznie trzeba było większe oddać uznanie tym artystkom i artystom lwowskim, którzy występowali z nią razem i bynajmniéj nie zostali tak zaćmieni, żeby grę ich można było zbyć pospolitym frazesem pochwalnym. Powtarzamy, że światowy rozgłos p. Modrzejewskiéj wcale nie wymagał tego: z większego uznania dla naszych artystów i artystek nie wypływałoby, że lwowska krytyka nie aprobuje sądu artystycznego Ameryki, lecz wysnuwałby się ten wniosek pocieszający, że scena nasza posiada niejeden talent tak znamienity, iż trzeba mu tylka umożliwić przystęp do sceny zagranicznéj, aby znowu jedno nazwisko polskie okryło się sławą wobec cudzoziemców. Pani Modrzejewska sama naprawiła ten błąd krytyki, bo na wyjezdnem wystosowała do personalu artystycznego sceny lwowskiéj list pożegnalny w bardzo pochlebnych i serdecznych wyrazach.

Podniesiona podczas jubileuszu Kraszewskiego w Krakowie sprawa wystawienia pomnika Mickiewiczowi ze składek publicznych jest na tak dobréj drodze, że wkrótce doprowadzi do celu, który tyle już razy daremnie wytykały sobie różne komitety składkowe. Tym razem sprawa dostała się w ręce męża energicznego, który nie zraża się nigdy żadną trudnością i nie ostyga w raz powziętym zamiarze t. j. w ręce prezydenta miasta Krakowa dr. Mikołaja Zyblikiewicza. Inicyator publicznego obchodu 50-letniéj pracy Kraszewskiego w Krakowie niezawodnie wywiąże się ze swojego nowego zadania tak znakomicie, jak wywiązał się z poprzedniego, które było o wiele trudniejszém. Składki będą zbierane w całym kraju za pośrednictwem różnych organów, do których należą także władze autonomiczne. Dr. Zyblikiewicz otrzymał od krakowskiéj rady miejskiéj upoważnienie do postarania się o to, aby za zezwoleniem władzy także i u was składki wpływać mogły na pomnik Mickiewicza.

Kiedy jest mowa o Mickiewiczu nie mogę pominąć przykréj niespodzianki, jaką sprawił nam rzymski dziennik *Italie*, który niedawno ze złośliwą niechęcią wspomniał o obchodach zbyt często urządzanych w Rzymie na cześć pamięci Mickiewicza przez tamtejszą kolonią polską. Kiedy obchody na cześć Tassa, Petrarki i Boccacia i innych wielkich poetów i uczonych włoskich, urządzane bywają we Włoszech w przerwach stuletnich, to Mickiewiczowi nie należy się taki zaszczyt wkilka lat. Gdyby tylko ten argument przytoczyła była dotąd zawsze nam życzliwa *Italie*, wyrozumiałość nie pozwoliłaby odmówić jéj słuszności. Ale argument ten jest tylko wątkiem do dalszych uwag złośliwych i niezbędnych których nie warto powtarzać, a które dotąd zazwyczaj spotykać można było tylko w niemiecko-żydowskich pismach. Bądź co bądź jednak faktem jest, że kolonia polska we Włoszech grzeszy zbytkiem natarczywości w popularyzowaniu nazwiska Mickiewicza, który w braku przekładów nie jest znany nie tylko Włochom lecz nawet innym bliższym nam narodom. Niepodobna forsować uwielbienia dla poety obcego w społeczeństwie, które jest tak bogate w rodzinne geniusze. Taki tryumf da się osiągnąć tylko powoli i naturalną drogą, jak np. teraz w Niemczech, gdzie niedawno pojawiła się książka porównywająca Goethego z Mickiewiczem na polu poezyi epicznéj w sposób bardzo korzystny dla ostatniego, gdzie od obchodu krakowskiego także i nazwisko Kraszewskiego nabrało szerokiego rozgłosu bez żanych starań i przedstawień z naszéj strony. Swoją drogą jednak *Italie* wystąpiła przeciw kultowi Mickiewicza we Włoszech a specyalnie w Rzymie tak niesmacznie i tak niezręcznie że inteligentna opinia, publiczna włoska prędzéj zapewne zgorszy się tą nagłą niełaską dotąd wcale przyjaznego nam dziennika, aniżeli da się przekonać jego argumentom.

Zaraz na początku przyszłego roku odbędzie się we Lwowie akt bardzo ważny dla miasta, wybór prezydenta. Dotychczasowy prezydent p. Aleksander Jasiński nie myśli ubiegać się o trzeci z kolei wybór, bo posada prezytenta miasta Lwowa jakkolwiek wielce zaszczytna łączy się z tylu przykrościami i taką pracą, że kto piastował ją sześć lat bez przerwy, ma wszelkie prawo usunąć się w zacisze i wypoczywać. Kandydatów na pierwszą w stołecznem mieście posadę autommiczną nie brakło nigdy i nie braknie teraz. Wymieniają już tyle nazwisk, że są wszelkie warunki gorącéj walki wyborczéj. Ponieważ prezydenta wybiera rada miejska, więc oczywiście zwolennicy każdéj kandydatury głównie starają się o to, aby wybór radnych wypadł w ich duchu. Radnych mamy aż sto, więc można sobie wyobrazić jak szerokie pole ma agitacya, jakie niespodzianki wypłyną z mowy wyborczéj. Nie wymieniam żadnego kandydata, bo żaden jeszcze sam nie wystąpił otwarcie a nawet ci, którzy wysuwają kandydatury nie występują jeszcze z niemi oficyalnie. O ile z nazwisk sądzić można, o prawdopodobnym charakterze i przebiegu wyborów zdaje się, że wielką rolę odgrywać będzie w téj sprawie nieszczęsny, u nas głęboko wkorzeniony, chociaż tak nienaturalny i niestosowny, antagonizm między inteligencyą a mieszczaństwem. Jest u nas nieliczne ale za to

wpływowe grono obywateli, którym zdaje się, że Lwów należy tylko do tych, którzy posiadają w nim kamienice, że wybór człowieka nieposiadającego tego cennego przedmiotu, byłby małym despektem dla miasta. Kraków stoi pod tym względem wyżej i dlatego tak pięknie się rozwija. A Lwów nietylko dla swojego rozwoju lecz już dla charakteru stolicy, powinien wynieść na krzesło prezydyalne kandydata z grona inteligencyi, chociażby nie posiadał nawet małéj realności na przedmieściu.

Słotne lato, przedwczesna i ostra zima wzbudzają wielkie obawy o los ludu wiejskiego. Już od kilku lat zbiory w kraju naszym nie dorównują nawet skromnym oczekiwaniom, to też niedostatek zagnieździł się po wsiach. Dotąd przednowek dopiero wzbudzał obawy, obecnie już zima zagraża wielkiem niebezpieczeństwem. Biedna ludność wiejska wyniszczona długoletnią lichwą, któréj ślady i w dziesięciu latach nie dadzą się zatrzeć zupełnie, nie może sama sobie radzić, potrzebuje koniecznie pomocy publicznéj. Uznają to już dziś i ci, którzy na sesyi sejmowéj z r. 1878 udaremnili projekt zaciągnięcia pięciomiljonowéj pożyczki krajowéj dla wydobycia ludu wiejskiego z opłakanéj niedoli. Wtedy wzdrygano się na samą myśl pomocy publicznéj upatrując w tem sankcyonowanie teoryi socyalistycznéj, jak gdyby już wszystko co ogół zrobi dla jednostek było socyalizmem. Ta mara socyalizmu miesza pojęcia ludziom trwożliwym. Jeżelibyśmy w ten sposób pojmować mieli socyalizm, to zanegowalibyśmy porządek społeczny pierwéj, aniżeliby to socyaliści uczynić mogli. Jeżeli wszystko ma być socyalizmem, co społeczeństwo czyni dla jednostek, to drogi publiczne i szpitale, zakłady dobroczynności i t. d. wydałyby się także zdrożnemi urządzeniami! Jak powiedziałem dziś widok nędzy bez granic usuwa te przesadne skrupuły socyalistyczne, ale na nieszczęście sejm nie będzie już w tym roku więc co w r. 1878 zaniedbane zostało, to da się naprawić dopiero na wiosnę. Ale jak doczekać się téj wiosny nędzarzom, dla których jutro już jest niepewne? Nawet w Wiedniu sprawa ta zaniepokoiła koła rządowe i polecono podwładnym organom, aby zbadały dokładnie stosunki. Zbadanie jest łatwe, bo bieda z każdego kąta wyziera i sama w oczy się ciśnie. Chodzi tylko o obmyślenie i wydobycie środków jakiéj rychlejszéj pomocy.

B. Ł.

LISTY Z MADRYTU.

(Dokończenie).

Najzabawniejsze wydawały mi się zawsze walki kobiet. Ubierają się w różowe majtki i krótką spódniczkę: na głowie mają opaski podtrzymujące włosy, a na około korpusu jakby beczułkę z łoziny, bez dna, pokrytą płótnem na którem pomalowane, a raczéj namazane są sceny z toromachii w wieńcu kwiatów. Z daleka bohaterki te podobne są do żółwi chodzących na tylnych nogach.

Ubiór saméj *espada* składa się z montera, gorsecika haftowanego złotem, i z czerwonéj mocno ukrochmalonéj spódniczki naszywanéj świecącemi blaszkami. Zazwyczaj zanim taka espada zada cios śmiertelny, pierwéj kilkanaście razy rani go tylko. Walką dyrygują doświadczeni *capeadores* a byk ma gałki na rogach i dla tego nazywają go *novillo de bola*.

Za granicą w ogóle mylnie bardzo stawiają *torero'sów* na równi z akrobatami i linoskokami. Skutkiem namiętnego zamiłowania jego *sztuki* torero nawet po za szrankami pola swéj działalności cieszy się pewnem poważaniem. Wielu członków arystokratycznych klubów, obchodzą się z nimi nader uprzejmie a nawet przyjacielsko; w teatrze można ich zobaczyć w lożach pierwszorzędnych; bywają także dobrze przyjmowani w kawiarniach do których uczęszcza sama wyborowa publiczność.

Sławni espadas, jak n. p. Frascuelo, zarabiają rocznie najmniéj 15, do 20,000 *douros* (20, do 25,000 rs.) mają własne domy w mieście i letnie mieszkania. trzymają kamerdynerów a często i kucharzy. Mają wspaniale urządzone apartamenta, noszą drogie klejnoty, trzymają sobie konie wierzchowe a niekiedy i powozy, podróżują tak okazale jak książęta lub bankierzy i palą najdroższe hawańskie cygara. Po za cyrkiem ubierają się dość oryginalnie. Noszą czarne axamitne kapelusze z dużemi rondami, krótkie i obcisłe zapięte żakiety, obcisłe skórzane spodnie, koszule z jak najpiękniejszego płótna, często haftowane; na szyi lekkie fularowe różowe lub białe chustki, nie zasłaniające szyi; bogato haftowane trzewiki, włosy spuszczone na plecy, a do tego piękne zegarki, ciężkie złote łańcuchy, złote spinki, pierścienie połyskujące od brylantów i drogich kamieni.

Można ich widzićć w Prado i Puerta del Sol zawsze wesołych i ożywionych; w Izbach gdy mają przemawiać ich faworytalni mówcy, dumnie prowadzących pod ręce i równie bogato wystrojone i świecące od złota żony—iluż to zazdrości im tak świetnego losu. Jakoż zdaje się że nic im nie brakuje do szczęścia, są niemal królami stolicy, a publiczność lepiej zna i więcéj uważa na ich głos, zachowanie się i ruchy, niż na wszystkich razem ministrów, mężów stanu, jenerałów lub największych bogaczy. Wszędzie można się spotkać z ich portretami, na obrazach, chustkach, talerzach, wachlarzach—nawet na pudełkach z zapałkami.

Tak więc w Hiszpanii, nie wiem jak powiedzieć, zawód czy rzemiosło *torero* jest zarazem i zaszczytne i zyskowne—ale, jak zwykle, wielu powołanych, mało wybranych. Mała ich liczba podnosi się do godności *espadas*, najwięcej zwiększa szeregi *capeadores*, z których wychodzą na *banderilleros* lub nawet tylko *picadores*. Nie każdy dosięgnie tego stopnia doskonałości aby umiał zabić byka według reguł sztuki, a biada temu kto skaleczy zwierzę tak że jest niezdatny do walki, a nie zdoła zadać mu śmiertelnego ciosu—taki już więcéj nie może wziąść szpady w rękę. W całéj Hiszpanii jest najwięcéj piętnastu do dwudziestu pierwszorzędnych, sławnych espadosów. Niedawno temu, pewien bogaty Anglik arystokratycznego rodu starannie wychowany, zręczny, dobrze zbudowany, posłuszny, jak mówi, „nieprzepartemu powołaniu" zapisał się na listę kandydatów na *espadas* i początki jego wiele obiecują. Winszuję ale nie zazdroszczę.

Trudno pojąć, doprawdy, jak barbarzyńskie takie, nieludzkie igrzyska, mogą być ulubioną rozrywką ludu ucywilizowanego, jak nietylko już mężczyzn ale kobiety wszelkiego stanu i wieku, mogą za niemi przepadać. Walki byków równają się niemal zabawom dzikich ludożerców, a mimo to zdaje się że długie, długie upłyną lata zanim nareszcie pójdą w zapomnienie. Niekiedy zdarza się wprawdzie że jakiś pełen cywilnéj odwagi dziennikarz lub filozof, gdy jaki *torero* padnie ofiarą walki, ośmieli się wystąpić z artykułem potępiającym w imię ludzkości te okrutne zabawy; mówią nawet czasami o interpelacyi do Izby, ale na tem się też kończy, i wszyscy jak dawniéj biegną do cyrku, szydząc z cudzoziemców nie rozumiejących tak rycerskiéj zabawy.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

2 Grudnia.

Z przybliżającym się Nowym Rokiem i kolędą obowiązującą wszystkich w Paryżu, magazyny tutejsze rozpoczęły wystawy najpiękniejszych strojów zimowych. Ułatwia to sprawozdanie nasze. Nie potrzeba nawet wchodzić do magazynów, dosyć jest obejść w koło szerokie witryny, aby za jednym rzutem oka, poznać wszystkie tajemnice mody dzisiejszéj.

Magazyn *Petit Saint Thomas*, najwytworniejszy z wielkich bazarów paryskich, położony w samym sercu arystokratycznego przedmieścia *S-t Germain*, wyszczególnia się między innymi. Wystawione w nim przedmioty, nie rażą błyskotliwym pozorem, ale mają za to jakąś wybitną cechę paryzkiego smaku, pełną wdzięku i harmonii, przystępujemy więc od opisu wystawionych w nim strojów.

Zacznijmy od sukni pekinowéj, w aksamitne i atłasowe paski, koloru ciemno fijołkowego. Przód spódnicy gładki atłasowy, naszyty cały falbankami, jedna nad drugą; falbanki te krajane ukośnie, lekko namarszczone, mają tylko po dwa cale szerokości. Tylne bryty z pekinu, objęte u dołu falbanką atłasową, tworzą długą powłokę. Stanik do tego gładki aksamitny, podcięty po bokach, zakończony długim bawetem tak w tyle jak i z przodu, spina się na rząd szmuklerskich guzików.

Druga suknia bardzo ciemna, w kolorze brązowo-oliwkowym (*loutre*) ma przód spódnicy gładki atłasowy, naszyty w odstępach pięknemi rozetami z pasmanteryi. Boki aksamitne tegoż koloru, przytwierdzone są do przodu takiemiż rozetami. Tył sukni atłasowy długi, podpięty fantastycznie; u dołu otaczają go dwie plisowane falbanki. Takież falbanki zakończają z przodu spódniczkę. Stanik do tego aksamitny, długi przybrany bogato pasmanteryą.

Trzecia suknia czarna *poult de soie*, w formie Gabryeli, przybrana cała szlakami tureckiemi, w żywych kolorach na tle czarnem.

Czwarta suknia czarna aksamitna, ozdobiona pasmanteryą, z dżetem.

Wśród wystawionych materyi, uważaliśmy wiele mienionych w dwóch kolorach, jak czarny z fijołkowym, piaskowy z błękitnym cielisty z *caroubier* czyli morderowym. Do ozdoby tych sukien, używany pekin w drobne paski mat i atłasowe, w odpowiednich kolorach.

Zwrócił też uwagę naszą plusz z krótkim włosem na wizytowe kostiumy, w kolorach: ciemno oliwkowym, rozmarynowym, śliwkowym, tabaczkowym i t. p.

Na skromniejsze kostiumy, widzieliśmy tkaniny wigoniowe w tychże kolorach. Do ozdoby ich przyjęto powszechnie kaszmir turecki przerabiany jedwabiem. Kaszmir ten ma zwykle ciemne, nie zbyt wydatne kolory, inaczéj nie mógłby służyć na ulicę.

Z pomiędzy nowości wpadły nam w oko, chusteczki, krawaty i szaliki z grubéj szneli, objęte taką frendzlą. Jedne z nich gładkie, brązowe, błękitne, fiołkowe lub blado żółte (ivoire), drugie znów w kolorach mięszanych, tworzących razem kaszmirową mozajkę.

Uważaliśmy także maleńkie chusteczki na głowę, czworograniaste, z tkaniny kaszmirowéj, ogarnirowane w koło koronką. Kładą się rogiem do czoła, reszta chusteczki przechodzi na tył głowy, i spina się razem złotą szpilką.

Przejdziemy teraz na Bulwary. Tu w wielkim magazynie *aux Trois Quartiers*, nasycimy oczy większym blaskiem, bo też ta wystawa, ma głównie na celu bogatych cudzoziemców, lub też arystokracyę bankierską.

Widzimy tu świetne suknie jedwabne, w rozmaitych kolorach, przybrane różnobarwną brokatellą, przerabianą srebrem albo złotem. Spostrzegamy także pyszne sztuki materyi lyońskiéj w ogromne liście i kwiaty; jest to po prostu adamaszek, dawniéj używany wyłącznie na meble i portyery, dziś przyjęty na suknie balowe, pod nazwą *broché Vateau*. Wielki deseń bywa zazwyczaj, tego koloru jak tło, czasami jednak w odmiennem odcieniu, a nawet w całkiem odrębnym kolorze. Widzimy naprzykład liście winogradu, w kolorze *caroubier* na tle jasno oliwkowem. Z tą materyą miesza się zwykle gładi atłas.

Oto opis szczegółowy jednéj z tych sukien. Przód spódniczki z gładkiego atłasu koloru kości słoniowéj (Ivoire), cały przemarszczony w poprzecz, naszyty w odstępach koronką alansońską. Stanik na pół wycięty, zachodzący na biodra, z bardzo długim bawetem, zasznurowany w tyle. Poniżéj stanu przechodzi draperya z materyi w blado różowe liście na tle *Ivoire*; w tyle tworzy długą powłokę, boki jéj objęte koronkowym wolantem. Na wykroju stanika, upięta chusteczka z gazy koloru kości słoniowéj, ogarnirowana koronką, łączy się z przodu pękiem róż bez liści w rozmaitych odcieniach. Takież same bukieciki róż, rozsiane na przodzie spódnicy, między koronkowemi wolantami. Rękawki zakończone koronką, sięgają aż do łokcia.

W tym że magazynie, wystawiony był strój balowy dla młodéj osoby, pełen prostoty, połączonéj z wytwornym smakiem. Suknia biała z gazy pekinowéj, w jedwabne pasy, miała u dołu trzy wolanty ukośne, szerokie na ćwierć łokcia. Tylne bryty, podpięte fantastycznie tworzyły dosyć długą powłokę. Z pod wolantów wychodziła jeszcze u dołu, plisowana falbanka z gładkiéj gazy. Stanik wycięty, z bawetem tak z przodu jak w tyle, zachodzący na biodra, otoczony był na wykroju, gerlandką z białych stokrotek, zdobiła go także, nafałdowana draperya gazowa, przepięta w środku pękiem spadających pukielków z białéj wstążki. Dwie długie gerlandki z takichże stokrotek, tworzyły dwa festony na przodzie spódnicy; z pod każdéj wybiegały pukle z wązkiéj wstążeczki białéj. Od ramion spadały długie do łokcia pukle, przetwierdzone w górze bukiecikami.

Kapelusze tegoroczne, ubierane ptakami wszelkiego rodzaju, są przedmiotem żartów dziennikarskich i najśmieszniejszych karykatur. Przesada ich, daje do tego słuszny powód. Jakoż w rzeczy saméj, można dziś na głowach modnych pań, odbyć najdokładniejszy kurs ornitologii. Widzimy na toczkach i kapeluszach, nietylko całkowite papugi i bażanty, ale niekiedy całe gniazdka drobnych piskląt z otwartemi dziobkami. Na jednym uderzył nas kogut naturalnéj wielkości. Dziób z grzebieniem czerwonym, wglądał pod rondo [z jednéj strony, pęk piór spadał na drugą stronę. Widzieliśmy także toczki całe, nalepione różnokolorowemi piórkami, które pomięszane razem, tworzą turecki deseń, w najjaskrawszych barwach. To nadużycie piór, przypomina stroje, czerwono-skórych Indyan.

Ekscentryczności takie, podniecają dowcip humorystów paryzkich. Niedawno w dzienniku *Charivari* nakreślił na tablicy, ogromny zbiór *jutrzejszych* kapeluszy. Na jednym siedzi wielki kot, na drugim rak morski przyparty kleszczami do czoła, na trzecim klatka pełna kanarków, na czwartym przysiadł zając. Przesadzóne te modele, nie wiele jednak oddalają się od rzeczywistych okazów. Widzieliśmy sami toczek aksamitny obszyty futerkiem: przód cały zapełniała wyciągnięta łasica, z wielką kitą podniesioną do góry.

Na innym znów kapeluszu uważaliśmy ogromną szczypawkę, a raczéj tak zwaną czarną krówkę ozdoba szczególnego rodzaju!

O ile kapelusze grzeszą dziwactwem, o tyle znów układ włosów zbliża się do prostoty, piętrzaste piramidy znikły już zupełnie, głowa uwolniona z nich, przybrała zwykłą formę i właściwy swój rozmiar. Warkocz zaczesuje się mocno górę, i ułożony w parę fantastycznych węzłów, przepina złotym lub szyldkretowym grzebieniem, albo kokardą z aksamitu. Czoło występuje z ukrycia, skroń za to więcéj przysłania się włosami.

Z ustąpieniem wielkich fryzur wyszły na jaw czepeczki i ubiorki. Widzimy po magazynach najrozmaitsze modele. U wielu z nich denko aksamitne czarne lub kolorowe, naszywane złotem, ogarnirowane koronką, inne znów zamiast koronki, obłożone futerkiem, lub piórkami; wszystkie w ogólności odznaczają się smakiem i pięknie dopełniają ubrania, tak do teatru jak na proszony obiad lub na wieczór. Szczerze też przyklaskujemy, téj odnowionéj modzie.

Nowe wydawnictwa.

Obrazki dziejowe dla młodzieży przez Teresę Jadwigę znaną chlubnie z prac swych pomieszczanych w Przyjacielu Dzieci. Wydanie to ozdobione sześciu rycinami rysunku Juliusza Kossaka dokonane zostało nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Jedna miłość przez całe życie powieść przez A. P. z wieku XVIII w dwóch tomach, wyszła we Lwowie nakładem Augusta Skerla i jest do nabycia we wszystkich księgarniach warszawskich.

Skarbczyk wiadomości dla dzieci. Powieści z Pisma Ś-go wierszem dziatwie opowiedziane przez Jana z Rzeszowa z rycinami.

Biblioteczka rodzinno powieściowa. Branka tatarska z rycinami przez Paulinę Kraków, wydanie drugie.

Biblioteczka podróży. Zima pośród lodów Juliusza Verne z rycinami, tłomaczenie Stanisława M. Rzętkowskiego.

Książeczka Babuni małe powiastki z rycinami dla dzieci od lat czterech do siedmiu naśladowane przez Felicyą Szymanowską.

Kampanella. Koleje życia sieroty z angielskiego przełożone przez Paulinę Kraków, z rycinami.

Lalka Maniusi. Prześliczna książeczka obrazkowa dla grzecznych dziewcząteк, z rycinami,

Zabawka Kazia prześliczna książeczka obrazkowa dla pilnych chłopczyków z rycinami. Wszystkie te książeczki wyszły nakładem księgarni F. Hösicka,

Krótki wykład katechizmu jako podręcznik dla matek według planu i wskazówek ks. Kazimierza Wnorowskiego Prałata Scholastyka kolegiaty Kieleckiéj, ułożyła Józefa Kamocka.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, oraz Prospekt Zakładu pracy kobiet O. Suchowieckiéj.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 4 Декабря 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

KRZYŻ W MOUGUERRE.

przez

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K.P.

(Dalszy ciąg).

Marya Anna kończyła ze łzami w oczach ten list, zawierający, pomimo swéj naiwności, szczegóły dozwalające obawiać się groźnych następstw. Ta podróż żony, a następnie nagły wyjazd męża jakby w ślad za nią, ten jakiś kuzyn, zabrane klucze, dzieci pozostawione bez opieki i bez grosza, ten szydzący kancelista, ileż to nędzy, i co wyniknie z tego przerażającego chaosu?

Różne przykre myśli nasuwały się Maryi Annie, odpisała jednak natychmiast Bercie i starała się uspokoić biedną dziewczynkę.

We dwa dni późniéj nadszedł znów rozpaczliwy list od nieszczęśliwych opuszczonych dzieci.

„Droga moja ciociu, ojciec jeszcze nie wrócił, a kontroler daje do zrozumienia że już wcale nie wróci. Słyszałam ludzi głośno o tem mówiących na podwórzu. Jest to śmieszne przypuszczenie, bo przecie ojciec nie może zostawić nas tu samych. Gdyby przynajmniéj napisał do nas!... Zdaje mi się że zachorował i niepokoi mnie to bardzo. Mama powinnaby także pomyśleć o nas i przysłać nam adres, w takim razie doniosłabym im o naszych kłopotach. Dziś rano przyszedł rzeźnik i łajał bardzo naszą kucharkę, nie mogłam tylko zrozumieć za co, a kiedy wychodząc zobaczył nas wjadalnym pokoju rzekł wzruszając ramionami: „Nieszczęśliwe biedactwo!" A! kochana ciociu, gdybyś nie była od nas daleko, jakaż byłaby to dla mnie pociecha, gdybym cię zobaczyła! Marynia ma gorączkę, a doktór utrzymuje że trzebaby Ludwisiowi zrobić małą operacyę na powiece, ale trzeba z tem zaczekać do powrotu ojca, a on tymczasem cierpi bardzo.

We dwanaście godzin po tym liście nadszedł inny, który już do najwyższego stopnia zaniepokoił Maryę Annę.

„Och! kochana ciociu, cóż się z nami stanie?... Przybyło do nas dwóch urzędników z Grenobli, pozamykali wszystko w biórze ojca, zaglądali do kassy, ale była zupełnie pusta. Następnie jeden z tych panów usiadł przy biórku kontrolera, i nie ruszył się już ztamtąd, a kiedy przyszli wieśniacy i pytali się o pana de Vambry poborcę, odpowiedział im że pan de Vambry nie jest już poborcą, i że on go zastępuje czasowo. Skoro wie, pomyślałam, że ojciec nie jest już poborcą, to musiał mieć od niego jakąś wiadomość. Wsunęłam się cała drżąca do bióra, bo ten pan z Grenobli ma bardzo surową minę, i zapytałam go gdzie jest ojciec.

— Jakto! zapytał, jesteś córką pana de Vambry? Tak, panie; najstarszą.—Ma więc jeszcze więcéj dzieci?—Prócz mnie pięcioro.—I któż się teraz opiekuje wami?—Nikt, panie.—W takim razie napisz do kogóś... poszukaj... musicie mieć w Tullins przyjaciół. Nie możecie tak pozostać.—Nie odpowiedziałam nic na to; nie mamy tu wcale przyjaciół, nikt mamy nie odwiedzał. Poszłam do kuchni dowiedzieć się czy ojciec nie miał jakich przyjaciół których ja nie znałabym jeszcze. Kucharka pakowała właśnie swoje rzeczy. Jest to dobra dziewczyna, i powiedziała mi że jéj to bardzo przykro że nas opuszcza, ale że zapewnie ktoś z familji przyjedzie po nas; że ona znalazła dobre miejsce i dla tego musi przenieść się tam zaraz, tym więcéj że nie odebrała wcale zasług, i żywi nas już od ośmiu dni, co dłużéj trwać nie może. Powiedziawszy to odeszła, a ja piszę do ciebie, kochana ciociu, prosząc abyś mi dopomogła znaleźć ojca, lub wyzwoliła nas z tak przykrego położenia."

Marya Anna uściskała margrabinę która nie pomyślała nawet o tem aby ją zatrzymywać, wzięła z sobą pannę służącą ponieważ pedagra nie dozwoliła panu de Fouzolle towarzyszyć córce, i pojechała do Tullins nie zwlekając ani godziny. Nie zraziła ją nawet mroźna pora roku, a Opatrzność wynagradzając jéj to szlachetne zapomnienie o sobie, złagodziła ostre styczniowe powietrze w ciągu jéj całéj podróży.

Marya Anna siedząc w wagonie przypomniała sobie poprzednie lata, kiedy chwiejąca się, bezsilna zaledwie była zdolną przejść ze swego pokoju do salonu, i z serca jéj wznosił się ku niebu hymn nieograniczonéj wdzięczności.

Margrabina żegnała ukochaną synowicę ze smutkiem, z obawą, hrabia de Fouzolle z gniewem że musiał pozostać w domu. Czuł to coraz lepiéj że podagra i lata odbierają mu możność działania stosownie do jego woli. Gdyby to jeszcze tylko nie dozwoliły mu towarzyszyć córce w podróży!... Ale wszakże podagra zniweczyła już jego matrymonialne zamiary, i stała się powodem że ponętna wdówka oddała bogatemu Anglikowi swe niestałe serce i znaczny majątek.

Krzyki szalonéj radości rozległy się w domu Marjusza, kiedy biedne opuszczone dzieci ujrzały swą młodą stryjenkę. Zastała je wszystkie razem w pokoiku na dole, w którym nie było nic prócz łóżka i dwóch krzeseł.

Dziewczynki tam spały téj nocy, a chłopczyków zabrała na noc do siebie jakaś miłosierna sąsiadka, bo ten „pan urzędnik z Grenobli" prosił sędziego pokoju aby kazał znieść wszystkie meble i sprzęty do jednego pokoju, i oznajmił że miały być sprzedane na rzecz skarbu, skrzywdzonego przez poborcę w Tullins.

Tak stały rzeczy kiedy przybyła Marya Anna. Uściskawszy dzieci postanowiła zasięgnąć dokładniejszych wiadomości i udała się sama do bióra, gdzie zastępujący pana de Vambry przyjął ją bardzo grzecznie.

Był to człowiek bardzo dobrze wychowany, trochę ostry gdy szło o dobro służby, któryby jednak prawdopodobnie zajął się więcéj dziećmi pana de Vambry, gdyby przeglądanie rachunków nie pochłaniało całéj jego uwagi.

— Panie, rzekła Marya Anna wymieniwszy mu swoje nazwisko, przybywam z Bayonny aby dowiedzieć się prawdy co do pana de Vambry, brata mojego męża, który jest obecnie zagranicą, proszę więc abyś mi ją pan zechciał powiedzieć.

— Przykro mi że jestem zmuszony uprzedzić panią, że ta prawda będzie dla niéj bolesną.

— Potrafię jéj wysłuchać skoro tego potrzeba.

— A więc powiem pani że pan Marjusz de Vambry jest oskarżony przez swą zwierzchność o ucieczkę z pieniędzmi kassowemi.

XXII.

Jakkolwiek Marya Anna była przygotowaną do bardzo złéj wiadomości, odrzuciła ze wstrętem to ostatnie przypuszczenie. Zaniedbanie obowiązków, opuszczenie dzieci, szalona gonitwa za niegodną żoną, nawet ucieczka, wszystko było możliwém wyjąwszy kradzieży. Żaden Vambry nie mógł spaść tak nizko, nawet po wielu latach stopniowego poniżenia.

— Panie, rzekła z żywością, czy nie ma w tem jakiegoś strasznego zbiegu okoliczności, jakiejś pomyłki, któréj ja wyjaśnić nie umiem, ale która jest widoczną dla każdego kto zna rodzinę de Vambry... i mego szwagra osobiście.

— Pomyłka!... Jakaż pomyłka jest możliwą wobec tak dotykalnych dowodów, które, zechciéj pani wierzyć że z prawdziwą przykrością, przedstawię pani.

— O! tak, powiedz pan wszystko... może będę mogła dać jakieś objaśnienia.

— Dla mnie, pani, to rzecz jest aż nazbyt jasną. Poborca z Tullins oddala się gdzieś nagle nie uprzedzając o tem swego pomocnika, nie zostawiwszy mu ani pieniędzy ani żadnego rozporządzenia. Ten zaś, który jak się pokazuje, wiedział że pan de Vambry już raz wyjechał na kilka dni bez urlopu, i zawinił tem że nie uwiadomił zarządu skarbowego, czeka cierpliwie dwa, trzy dni, znajduje się w konieczności wypłacenia pewnéj summy, i spostrzega się dopiero że mu nie zostawiono klucza od kassy; zaniepokojony zakłada swoje pieniądze, czeka jeszcze, a nakoniec przerażony ciążącą na nim odpowiedzialnością, pisze do Głównego zarządu skarbowego, zapytując o swego zwierzchnika, na co otrzymuje odpowiedź że nic o nim nie wiemy, i że sami przeprowadzimy śledztwo dla wyjaśnienia tego interesu. Zjeżdżamy rzeczywiście na miejsce; znajdujemy kassę pustą a rachunki w nieporządku, co łatwo daje się wytłomaczyć brakiem wprawy młodego urzędnika pozostawionego własnym siłom. A jakaż to gromada zuchwałych dostarczycieli napadła z krzykiem na dom ten z sążnistemi rachunkami, gdy tylko doszły ich pierwsze posłuchy o téj katastrofie—zdawałoby się że wyrastali z ziemi jak grzyby po deszczu... Dodaj pani do tego opuszczenie biednych dzieci, niezapłaconą służącą która złorzecząc szuka innego miejsca, zarzuty jakie całe miasto wygłasza jednomyślnie przeciw płochéj i lekkomyślnéj macosze, przeciw zawojowanemu ojcu, którego słabość dla niegodnéj żony popchnęła do występku. Obecnie po sprawdzeniu rachunków, przekonywamy się że pan de Vambry był nierzetelnym i nieuczciwym urzędnikiem.

— Ach! panie... czyż są na to dowody?

— Księgi kassowe przekonywają że w przed-

dzień swéj ucieczki, pan de Vambry odebrał 15,000 fr. których nie ma w kassie.

Marya Anna spuściła głowę, rumieniec wstydu wystąpił jéj na czoło. Nie śmiała teraz przemawiać w obronie tego co tak mało zasługiwał na to, a jednak w gruncie duszy coś szeptało jéj że brat męża nie mógł się podobnéj dopuścić nikczemności.

— Przykro mi że musiałem wyjawić tak okrutną prawdę, ale mógłżem panią w błąd wprowadzać?

— I cóż teraz będzie?

— To co zawsze bywa następstwem podobnych sprawek. Pan de Vambry postawiony jest w stanie oskarżenia, rysopis jego rozesłany wszędzie, a choć miał dość przed sobą czasu aby uprzedzić poszukiwania jednak należy się spodziewać że wysłani agenci potrafią go schwytać.

— A więc dla nędznych kilkunastu tysięcy franków, cała rodzina zostanie zhańbioną!

— Wysokość summy nic tu nie znaczy, bo nie ona to ale czyn ten przynosi hańbę.

— Czy nie ma sposobu zatarcia téj sprawy?

— Nie, pani.

— A gdyby zwrócić pieniądze?

— Nie uwolniłoby to pana de Vambry od zarzutu przeniewierzenia się w urzędowaniu.

— Więc cóż począć?

— Jeden byłby tylko środek, ale tego zapewnie pan de Vambry nie użyje. Powinienby wrócić, usprawiedliwić swą nieobecność, oczyścić się z zarzutu i wykazać jasno kto zabrał z kassy 15,000 franków.

W tejże chwili w korytarzu rozległ się radośny krzyk i biegania dzieci; przykro uderzona wesołemi okrzykami w podobnéj chwili Marya Anna podniosła się chcąc iść poskromić bezwiednych winowajców, gdy w téjże chwili drzwi prędko się roztwarły i na progu ukazał się Marjusz otoczony gromadką ucieszonych dzieci.

Był tak osłabiony, zmieniony i blady, że gdyby nie przemówił pierwszy, trudno byłoby go poznać.

— Co tu jest?,.. co się tu dzieje? .. panie inspektorze... czy raczysz pan objaśnić mi...

— Cóż takiego? rzekł tenże wyniośle.

— To zamieszanie... obecność tu pana...

— I to pan!... pan! śmiesz podobne zadawać pytanie?... Czyż dopuszczając się podobnego przeniewierzenia...

— Przeniewierzenia... powtórzył, zadrżał i twarz jego strasznie się zmieniła.

— Ach! zawołała Marya Anna, dzieci nie powinny tego słyszéć, i wyprowadziwszy je z pokoju, zamknęła drzwi za niemi.

— Panie inspektorze, rzekł Marjusz, zawiniłem względem przepisów skarbowych i wiem że ciężko za to odpokutować mogę, chociaż to opuszczenie służby mogę aż nadto ważnemi usprawiedliwić powodami... Ale pan inspektor użył wyrażenia które nie da się zastosować do mnie, proszę więc aby raczył je cofnąć.

— Więc to nie z rozkazu prokuratora zostałeś pan...

— Z rozkazu prokuratora?... Panie inspektorze, jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy... przez tekilka dni tak straszne przeszedłem męczarnie... może skutkiem tego ogarnął mnie jakiś obłęd, i nie jestem w stanie zrozumieć czy to żart tak niestosowny czy straszne jakieś nieporozumienie.

Inspektor zapytał poważnie i zimno:

— Skąd pan przybywasz?

— Ja... byłem... Jak szalony przebiegłem całe Włochy... Szukałem we Florencyi, bo powiedziano mi... stamtąd udałem się do Medjolanu... ale po co mówić o tem, nie o to chodzi...

— A! więc o cóż?... jak pan sądzisz.

— Że opuściłem urzędowanie bez upoważnienia a nawet bez zawiadomienia władzy, i bez objaśnienia mego kontrolera jak ma w danych razach postąpić. Biedak musiał się nakłopotać i złorzeczyć mi... a jak widzę zawiadomił i zawezwał nawet pana inspektora.

— Szkoda tylko że zapóźno.

— Wiem, czuję że złożysz pan bardzo surowy raport... nie wiem nawet jak długo byłem nieobecnym... Od owego przeklętego poranku tyle przecierpiałem... w głowie mojéj taki chaos...

— Więc wyjeżdżałeś pan w interesie familijnym? bądź pan szczerym.

Widząc że będzie musiał wyjawić bolesną swoją tajemnicę, Marjusz zbladł okropnie, usta mu zadrgały.

— O! tak, odrzekł nareszcie, w interesie nader ważnym... najstraszniejszym jaki zdarzyć się może w życiu rodzinnem.

— Położenie pana zmusza mnie wchodzić w tak drażliwe szczegóły. Pojechałeś pan goniąc za panią de Vambry?

— Chciałem... chciałem .. dogonić ją i odebrać nikczemnikowi co mi ją porwał. O dziesięć minut zminąłem się z nią w Chambery... dogoniłem w Turynie, ale zdołała mi uciec!.. Nabawiwszy mnie tak strasznego niepokoju, pogrążywszy w rozpaczy, jeszcze może z jéj przyczyny stracę ostatni kawałek chleba dla siebie i dla dzieci, jeźli dostanę dymissyę... Wszak dość jestem szczerym, panie inspektorze?

— Nie, nie dość jeszcze—bo nie powiedziałeś pan kto zabrał wszystkie pieniądze z powierzonej panu kassy.

Marjusz zwrócił na kassę osłupiałe spojrzenie, w którem malowało się zarazem zadziwienie i jakby obłęd.

— Kassa... pieniądze... ależ kontroller musiał panu oddać klucz.

Mówił to sam nie wiedząc co mówi, ale Marya Anna postrzegła wielką siną żyłę występującą na blade jego czoło.

— Klucza nie było ani u kontrollera ani nigdzie.

Machinalnie włożył ręce do kieszeni i wyrzucił na stół drobne będące w nich przedmioty: pustą prawie portmonetkę, pęczek papierków na papierosy, i mały scyzoryk—ale żadnego klucza.

— Nie wiem... nie pojmuję... wybełkotał. Zawsze klucz ten nosiłem przy sobie i powierzałem go niekiedy jednemu tylko kontrollerowi...

— Tym razem nie oddałeś mu go pan.

— Tak pan mówisz... ja nic nie wiem... byłem jak szalony... zapomniałem o kluczu...

— Honor i obowiązek urzędnika nie pozwalał panu zapominać o nim.

— Czyżbym go zgubił?... sam nie wiem... może został gdzie w hotelu albo w wagonie... leciałem jak szalony...

— Nie mając klucza kazałem otworzyć kassę, ale nie było w niéj 15,000 fran. które kontroller widział w niéj w przeddzień pana wyjazdu.

— Piętnaście tysięcy franów... tak pamiętam... i powiedziałeś pan...

Pobiegł do kassy, uderzył w nią zaciśniętemi pięściami, odskoczył, zbliżył się do inspektora, i zawołał wlepiając w niego krwią nabiegłe oczy.

— A! zrozumiałem... zrozumiałem... ani słowa więcéj panie inspektorze, bo posądziłbyś mnie o kradzież.

Straszny i piękny był zarazem w téj chwili, gdy sędziemu swemu nakazywał milczenie. Patrząc na niego, Marya Anna zadrżała z radości—poznawała krew de Vambry'ch. Sam nawet inspektor nie mający zwyczaju rozczulać się w sprawach skarbowych, został wzruszony tem dumnem, z duszy wydzierającem się odezwaniem.

— Wskaż pan przestępcę, odrzekł.

Ach! przestępcy tego musiał Marjusz szukać w własnem domowem ognisku, jeźli sam nie chciał dźwigać ciężaru hańby. Ani pomyślał posądzać swego kontrollera, bo wiedział że to człowiek zacny i uczciwy; inne, ukochane dotąd a teraz zhańbione imię uwięzło mu w gardle... Obu rękami chwycił się za czoło, na które sine wystąpiły plamy, zakręcił się i padł bezprzytomny na ziemię, bełkocząc:

— A! nieszczęsna!.., nieszczęsna!...

Uważny jak inkwirent, inspektor pochylił się chcąc dosłyszéć.

— Co on mówi? zapytał.

Marya Anna pośpieszyła ratować nieszczęśliwego.

— Mówi, odpowiedziała, że żona uciekająca z innym, pozbawiła go zarazem szczęścia i honoru.

— Domyśliłem się tego, rzekł inspektor ze szczerem współczuciem; ktoby okradł kassę nie byłby tak naiwnym aby powracać dobrowolnie.

Nie mogąc otrzeźwić Marjusza, Marya Anna zawezwała pomocy; przybiegł zaraz kontroller a niezadługo potem i aptekarz mieszkający naprzeciwko. Zaniesiono go na łóżko, ale zaledwie po bardzo długich staraniach zdołano przywrócić go do przytomności.

Teraz dopiero poznał najpierwéj Maryę Annę, któréj nie zauważył w biórze podczas rozmowy z inspektorem.

— Jakże pani jesteś dobra i szlachetna; gdyby nie pomoc twoja, dzieci...

— Zaledwie przyjechałam i nic jeszcze zrobić dla nich nie mogłam, ale teraz możesz już pan być spokojny.

Bojaźliwie obejrzał się do koła.

— Czy powiedziałem? zapytał cicho.

Nie umiejąc kłamać, Marya Anna nie ukrywała prawdy; odpowiedziała iż wymówił tylko dwa razy: nieszczęsna!... nieszczęsna!... z czego poznała winowajcę i objaśniła inspektora.

— Ach! bratowo; rzekł z wyrzutem, więc wydaliśmy ją...

— Bracie, odrzekła z godnością, hańba nie powinna dotykać ciebie ani nazwiska męża mego które powinieneś nieskażone przekazać dzieciom.

— Ale wzgarda powszechna dotknie Sylwję.

— Czyż sam teraz możesz ją szanować?

— Niestety! kocham ją jeszcze, odrzekł znękany.

— Będziemy się starać ocalić ją od hańby.

— Czy być może?... ach! ocal ją, siostro! zawołał składając ręce.

— Sprobuję.

Aptekarz wszedł przynosząc uspakajające krople; powierzyła słabego jego opiece i wróciła do bióra w którem inspektor pisał sprawozdanie.

— Panie, rzekła wzruszonym głosem, pan Marjusz de Vambry jest człowiekiem słabego charakteru, zakochanym szalenie w niegodnéj uczuć jego żonie, ale uczciwości i honoru jego podejrzywać niepodobna. Zasłużył na surowość władzy za opuszczenie urzędowania, ale jednocześnie pobudki które

go do tego popchnęły, powinny zjednać mu względność i litość przełożonych. Wszak mogę mieć nadzieję że nie wspomnisz pan w raporcie o nikczemnéj istocie która go zgubiła?... a co do piętnastu tysięcy franków, te ja obowiązuję się zapłacić i dam natychmiast przekaz do mego bankiera. Miéj pan litość nad nieszczęśliwym, cofnij skargę podaną do sądu i chciéj tak pokierować całą tę sprawę, aby hańba nie dosięgła nazwiska, będącego jedynem bogactwem sześciorga niewinnych sierot. Błagam pana o to w imię miłosierdzia chrześciańskiego... wszak pojmujesz jak bardzo i mnie to dotyka, jak bardzo nad tem cierpię!

Inspektor skłonił głowę z poszanowaniem, prośba téj zacnéj, szlachetnéj kobiety przemawiała do jego serca, ale sumienie urzędnika skarbowego opierało się nieco.

— Pani, rzekł nareszcie wzruszony, chciałbym uczynić dla pani wszystko co tylko jest możebnem w tym interesie, — ale chociaż cofnę skargę do sądu, usprawiedliwiając ją nieporozumieniem, i chociaż zabrane pieniądze zostaną zwrócone, zawsze pozostanie urzędnik nie zdolny do zajmowania powierzonéj sobie posady, nie zasługujący na zaufanie władzy. Urzędnikowi skarbowemu nie wolno być płochym i lekkomyślnym, a poborca zapominający o swoich obowiązkach aby gonić za kobietą, choćby za własną żoną, najniezawodniéj zostanie wydalony ze służby.

— A czy nie mógłby sam podać się do dymisyi?

— Byłaby to wielka łaska gdyby pozwolono na to, gdyż tym sposobem winny byłby wolny od wszelkiéj odpowiedzialności... Ale udaj się pani do ministra, myślę że nie potrafi jéj odmówić.

— Dziękuję panu za radę, pojadę do Paryża i będę u ministra skarbu, odpowiedziała podając mu rękę.

XXIII.

Poleciwszy nieszczęsnemu Marjuszowi aby napisał i oddał jéj podanie o dymisyę, Marya Anna musiała wysłuchać opisu smutnéj jego przygody.

Ex tancerce uprzykrzyło się monotonne życie domowe, pustki małego miasteczka, opiekowanie się dziećmi, brak hołdów i oklasków.

W Tullins patrzano na nią raczéj z ciekawością niż z podziwem; nie mogła dostrzedz nigdzie zachwytu i uwielbienia, jakich domagała się jéj próżność. W braku pięknych oficerów i bogatych przemysłowców, szlachty i dziennikarzy, byłaby poprzestała nareszcie na hołdach mieszkańców miasteczka olśnionych jéj pięknością, ale dobrzy ludziska ani myśleli zachwycać się jéj wdziękami — tego już znieść nie mogła i była ciągle niemal zła i rozdrażniona.

W domu było istne piekło; dzieci drżały posłyszawszy głos macochy, a Marjusz tylko prawdziwie bałwochwalczemi hołdami i pochlebstwem, zdołał niekiedy wywołać uśmiech na jéj usta. Tak już była do nich przyzwyczajona że straciły dla niéj cenę.

W zimie jéj niezadowolnienie, gniew i narzekania wzmogły się jeszcze. Pieniądze wysuwały jéj się z rąk nie zadawalniając jéj próżności, nie przynosząc żadnéj uciechy. Nikt nie zwracał uwagi na jéj stroje, i w jéj salonie zawsze było pusto. Zdawało jéj się że mieszkańcy prowincyonalnego miasteczka, zwykle surowi dla osób w jéj położeniu, pałali ku niéj większą jeszcze niechęcią.

Jedna tylko osoba zdawała się odczuwać jéj cierpienia i umiała je łagodzić szumnemi pochwałami: był to jéj kuzyn, bez majątku i talentu, ale posiadający wiele zarozumienia i śmiałości, którego charakteru nigdy nie ceniła, a nadskakiwania przyjmowała ze śmiechem. Obecność jego stanowiła wszakże dla niej pewną rozrywkę, przepędzał też często po kilka dni w domu Marjusza, pomimo że ten nie zapraszał go nigdy.

Umiał rozmawiać o rzeczach i osobach znanych ex tancerce, i których żałowała ciągle, i on to głównie rozbudził w niéj tęsknotę za sceną, któréj ulegają zwykle mierni artyści, niezdolni zamiłować cichego rodzinnego życia.

O ile się zdaje, nie odegrał i w tem zdarzeniu wybitniéjszéj roli, był tylko powiernikiem i doradzcą. Sylwja szydziła z jego brzydoty, pogardzała jego ubóstwem, ale był potrzebnym do przeprowadzenia jej zamiarów, i nie wahała się korzystać z jego pomocy.

Marjusz zrozumiał to po niewczasie. Przedtem Luiz Joannes był dla niego tylko pasożytem, niemiłym gościem, widmem zakulisowéj przeszłości żony, którą chciałby wyrugować z jéj i ze swojej pamięci.

Nadszedł nakoniec dzień w którym Sylwja pewna już współudziału i opieki kuzyna, uciekła wraz z nim z szaloną, bezmyślną lekkomyślnością.

Marzyła o tem aby stworzyć sobie nowe życie zgodniéjsze z jéj usposobieniem, po za granicami téj Francyi w któréj popełniła tak wielką niedorzeczność, zamieniając swą, tak jej drogą niezależność, na platoniczną przyjemność nazywania się „panią de Vambry.“

Aby jednak mogła dostać się do Ameryki i stać się bożyszczem Yankesów pod przybranem angielskiem nazwiskiem potrzebowała zatrzeć swe ślady aby Marjusz nie wiedział w któréj stronie ma jéj szukać. Dla osiągnięcia tego celu trzeba go było uspokoić, odurzyć, a następnie uciec pozostawiając go bez pieniędzy, pozbawiając możności ścigania zbiegłéj.

Nigdy przed tem nie była dla niego tak dobrą i tkliwą, nigdy nigdy, nie starała się być równie ujmującą i ponętną, jak na kilka dni przed swą ucieczką. Pieściła dzieci, nie gniewała się na męża i nawet Delfinatowi przyznawała pewne powaby.

Nieszczęśliwy Marjusz pływał po obłokach ucieszony tak pomyślną zmianą, aż przebudziwszy się pewnego rana, szukał napróżno żony po całym domu, i znalazł tylko od niej krótki ironiczny bilecik z pożegnaniem:

„Najdroższy, nie rozumieliśmy się i nie byliśmy dla siebie stworzeni, tobie potrzeba gospodyni, a mnie hołdów i kadzideł. Wspomnienia milsze nam będą niżeli rzeczywistość. Zamierzam ukryć się tak dobrze abyśmy nie mogli uledz pokusie połączenia się powtórnie. W każdym razie nie mam do ciebie wielkiego żalu za te kilka miesięcy nie zbyt miłego i szczęśliwego z tobą pożycia; będę nadal ostrożniejszą... no! i ty także zapewnie...“

Oszalały z rozpaczy Marjusz odjechał nie zdolny myśleć o niczem jak tylko o zemście... może o przebaczeniu... byleby tylko odzyskać zbłąkaną.

Jakże go mogli posądzić o zabranie tych pieniędzy? Miał ich tak mało z sobą, że musiał zaprzestać dalszych poszukiwań.

Sylwja pamiętała o tem aby jéj wystarczyło na drogę, był teraz równie tego pewnym jak gdyby patrzył na to kiedy białe jéj ręce klucz mu pochwyciły, otwierały do kassy i wyjęły z niéj pieniądze, co uważała za jedyny sposób ułatwienia sobie ucieczki.

Cóż teraz pozostało nieszczęśliwemu? Teraźniejszość rozpaczliwa, przyszłość straszna, stracił sposób utrzymania, stracił możność wyżywienia dzieci. Marya Anna, chcąc uchronić nazwisko de Vambry od wszelkiéj skazy, zamierzała prosić ministra skarbu aby zamiast odsunięcia Marjusza od pełnienia obowiązków jako nie zasługującego na zaufanie, pozwolił mu podać się do dymissyi. Ale czy jéj się to powiedzie?

Niestrudzona, wiedziona gotowością do poświęcenia, puściła się w podróż do Paryża, którą w przeszłym jeszcze roku mogłaby przypłacić życiem. Siły fizyczne pokrzepiły już tak wątłe przed tem jéj ciało, a siła moralna krzepiła zawsze jéj serce.

Ileż to potrzebowała zużyć zręcznéj i rozczulającéj wymowy, zanim zdołała zmiękczyć opór ministra!...

Zatelegrafowała natychmiast do Tullins: „Zwyciężyliśmy!“ i wróciła tam natychmiast dla ukończenia interesów Marjusza.

W parę dni późniéj odebrała pieniądze z Bayonny: zwróciła do kassy piętnaście tysięcy franków, i spłaciła długi, a nakoniec oświadczyła Marjuszowi że będzie się opiekować jego dziećmi, dopóki nie nadejdą dla niego lepsze czasy.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi, siostro!... Ale jakże możesz przypuszczać że kiedyś nastaną dla mnie szczęśliwsze czasy? powiedział Marjusz.

— Nie trać odwagi, rzekła, masz przed sobą dwie drogi; którąkolwiek z nich obierzesz, ja dopomagać ci będę, zastępując Stefana.

— Jakież są te drogi?

— Szukać Sylwii.. nie dla tego aby odzyskać szczęście, ale w nadziei że będzie można jeszcze zrobić z niéj uczciwą kobietę:

— A! o tem właśnie marzę. A jakąż możesz mi wskazać inną jeszcze drogę?

— Zaciągnąć się do armi Afrykańskiéj: jest to szlachetne schronienie dla ludzi których przyszłość została zwichniętą.

— Muszę najprzód szukać Sylwii.

— Dobrze! Stefan z pewnością nie odmówi ci potrzebnych na to pieniędzy.

— Jakże jesteś dobrą, droga siostro.

— Bynajmniéj, kładę jeden warunek.

— Jaki?

— Jeżeli do przyszłéj wiosny nie dościgniesz zbiegłéj, nie będziesz tracił czasu na próżne poszukiwania. Niech zdradzi sama miejsce pobytu przez rozgłos o który z pewnością starać się będzie.

— Będę ci posłusznym, nieoceniona moja siostro.

— Bądź posłusznym głosowi obowiązku, to wystarczy.

Pożegnała go ściśnięciem ręki, nie chcąc słuchać dłużéj pełnych zapału podziękowań jego, i przywołała do siebie dzieci aby je zabrać, jak skarb jaki, z tego nieszczęśliwego domu, któremu niebo odmówiło swego błogosławieństwa.

Jakaż to była radość dla tych biednych istot! Ta młoda stryjenka była dla nich ideałem wyrozumiałości, dobroci i sprawiedliwości, a wiek dziecinny łaknie sprawiedliwości, jak młodzieńczy złotych marzeń, a starość wspomnień przeszłości.

Marya Anna przywiązała się także do nich całą siłą tkliwego serca, oddalonego od przedmiotu swéj miłości, zatrwożonego tą jego długą nieobecnością, a jednak znoszącego ją z prawdziwie chrześciańskiem poddaniem się woli Opatrzności.

— Ach! niech tylko kochany Stefan powróci

i kocha mnie trochę, a radości téj nie opłacę zbyt drogo tem boleśnem sześcio-miesięcznem rozłączeniem, myślała sobie.

Ale tygodnie upływały jedne po drugich, a oczekiwany tak gorąco nie wracał. Dzieci zamieszkały w pałacu de Fouzolle i Marya Anna zajęła się niemi z macierzyńską troskliwością; stała się dla nich nauczycielką, przyjaciółką, towarzyszką zabaw i uciech. Starsze uczyła katechizmu, gramatyki, muzyki, historyi, dla mniejszych wymyślała najrozmaitsze zabawki i gry.

To ciągłe zajęcie rozwijało jéj siły fizyczne a zajmując umysł koiło boleśny niepokój miotający często duszą téj młodéj kobiety. Często bowiem ogarniało ją gorzkie zwątpienie. Czy rzeczywiście Stefan *nie mógł* już powrócić? Czy zatrzymywały go jedynie nieskończone prace komissyi doświadczalnéj... lub brak chęci powrócenia do niéj?...

Bojąc się dać sobie bolesnej twierdzącéj odpowiedzi, a nie śmiejąc uspokajać się optymistycznemi złudzeniami, biedna Marya Anna byłaby cierpiała bezmiernie, gdyby dobrowolnie narzucone sobie obowiązki nie oddziałały zbawiennie na jéj umysł, nie dopuszczając zatapiać się w boleśnych myślach i przewidywaniach.

A tak biedne sieroty bezwiednie spłacały dług wdzięczności.

Ich przymioty i wady, pieszczoty i wymagania, kształcenie ich młodziutkich umysłów i staranie o ich zdrowie, cały prawie czas zajmowały młodéj kobiecie, nie dozwalając oddawać się smutkowi, któryby sprzeciwiał się ciągłemu polepszaniu się jéj zdrowia i coraz widoczniejszemu nabieraniu sił.

Nareszcie w miesiącu marcu odebrała upragnioną wiadomość która znów słodkie w jéj sercu wzbudziła nadzieje: Stefan donosił że prawdopodobnie powróci w przyszłym miesiącu.

Jakże długie wydawały jéj się tygodnie!... a oczekiwany nie wracał. Zatrzymały go pewne niedokładności w zbyt późno dostawionych rysunkach; to też obawiając się raz jeszcze fałszywéj zwiastować wieści, nie oznaczał stanowczo czasu przybycia.

I to nowe opóźnienie Marya Anna przyjęła z religijnem poddaniem; nie szemrała przeciw zrządzeniom Bożym, nie tworzyła nawet przypuszczań, modliła się i czekała.

Jednocześnie Stefan de Vambry, który nie opóźniał dobrowolnie ale i nie starał się usuwać powodów dotąd zatrzymujących go w Ameryce, wsiadł nareszcie na okręt aby odpłynąć do Hawru. Przed samym odjazdem odebrał z poczty ogromny pakiet listów, które zamierzał odczytać na statku, aby zająć czas w ciągu tak długiéj morskiéj przeprawy.

Były tam listy od adwokatów i notaryusza, oraz dowody prawne, przekonywające że Marjusz de Vambry tyle pozaciągał długów na przypadającą mu część małego spadku po matce, iż obecnie żadnego już do niego nie ma prawa. Był list od Maryi Anny, z którego pomimo spokojnéj i swobodnéj treści wiał jakiś smutek i tęsknota: daléj wesołe i dowcipne listy kolegów, dopytujących go się żartobliwie: co za straszne dopuścił się zbrodni, skoro władza wojskowa na tak okropne za nią skazała go wygnanie. Nareszcie kilkanaście ćwiartek zapisanych przez Marjusza, w których szczerze przyznawał się do swoich błędów, zaślepienia i nieszczęścia.

Dotąd Stefan miał zaledwie słabe wyobrażenie o tych smutnych zajściach, gdyż Marya Anna, przez właściwą sobie delikatność, donosząc mu o tem, zaledwie nadmieniła o smutnych okolicznościach, poprzedzających uwolnienie ze służby. Wiedząc jak żywo Stefan uczuł i przebolał śmierć matki pragnęła nowych oszczędzić mu cierpień, aby nie narażać go na nową może chorobę. Opisane przez nią smutne przygody Marjusza straciły swój drażliwy charakter. przedstawiając jedynie smutne położenie męża, zmuszonego porzucić zajmowaną posadę, i gonić po świecie utracone szczęście i spokój domowy. W końcu dodała tylko że dzieci zabrała do siebie, nie wspominając ani jednem słówkiem o okradzeniu kassy i następstwach jakie fakt ten pociągnąłby za sobą, gdyby nie jéj szlachetne wdanie się w tę sprawę.

Dopiero więc sążnisty list Marjusza, objaśnił Stefana o prawdziwym stanie rzeczy, a objaśnienie to tem żywsze uczyniło na niem wrażenie, iż dawało mu poznać energię i szlachetność kobiecą, jakich ani się domyślał w swéj żonie.

Marjusz miewał przystępy dziwnéj szczerości i otwartości, jakie zwykle miewają ludzie słabego charakteru, rozumujący po niewczasie, a obok tego przejęty był nieograniczoną wdzięcznością dla bratowéj, która, choć był dla niej obcym prawie, natychmiast pośpieszyła mu z pomocą.

Jakkolwiek dotąd zostawał pod zgubnym wpływem niezwykłéj piękności swéj żony, jednak zbyt boleśnie był dotknięty niecnem jéj postąpieniem, aby je miał ukrywać. Opisał więc wszystko dokładnie, ale mimo to aż nadto było widocznem że dotąd jeszcze szczęście jego całe zależało od nikczemnéj tancerki.

Wdzięczność, żal, roztargnienie i zamarłe jego nadzieje, wszystko to połączone tworzyło tak boleśnie nielogiczną całość, iż nader przykre na Stefana wywarły wrażenie.

— On już stracony, pomyślał, i nie zdołamy go uratować!

Mówił *my* ponieważ w przepełnionem wdzięcznością sercu, łączył się z Maryą Anną w tem zadaniu ocalenia Marjusza, które ona sama tak szlachetnie rozpoczęła.

Stefan był zdziwiony, a nadewszystko uszczęśliwiony niewymownie, odkrywając w swéj żonie taką energię i tak szlachetne serce; pomyślał sobie że staną się one jakąś łączącą ich spójnią, ciepłem ogrzewającem nieco zimne ich i smutne życie.

Sam szlachetny, umiał oceniać szlachetność innych; nie przejmowało go to zbytecznie chęcią przyśpieszenia przybycia do Bayonny, ale uczuł że nie poznał i nie umiał ocenić pięknéj duszy Maryi Anny, wyrzucał to sobie i postanowił wynagrodzić jéj to swojem postępowaniem.

W kilka dni późniéj niespodzianie przybył do Bayonny.

Hotel de Fouzolle był pusty. Odźwierny zawiadomił pana de Vambry, że z nastaniem pięknych dni, panie przeniosły się do Mouguerre, do pałacyku który młoda pani wynajęła na całe lato.

— Do Mouguerre!... w miesiącu maju!... nie jestże to zbyt niebezpieczna fantazya dla osoby tak wątłéj i słabowitéj?...

Pan de Fouzolle bawił w Pau; ale powozy i stajnia jego były na rozkazy młodego pana. Stefan kazał zaprządz i pojechał do Mouguerre.

Dwa tygodnie wcześniéj, znużony mocno morską i kolejową podróżą, byłby sobie pozwolił odpocząć dzień lub dwa, przed udaniem się w góry,—obecnie uważał sobie za święty obowiązek, śpieszyć podziękować Maryi Annie za ocalenie honoru jego brata i ich nazwiska.

XXIV.

Na drodze wiodącéj do Mouguerre krajobrazy były równie urocze, horyzont równie ponętny i wiosna tak piękna, jak wówczas gdy obie, nieznane jeszcze wtedy sobie rodziny, mające spo krewnić się z sobą, spotkały się tu po raz pierwszy.

Jakież to wtedy były wesołe i miłe wrażenia miotające panem de Vambry! matka rozkosznie marzyła o jego szczęściu, a on chętnie zgadzał się z jéj wolą.

Od owéj chwili zalewie kilka upłynęło miesięcy, i matka jego do lepszego przeniosła się świata, marzenia jego pierzchły, życie związane nierozwiązalnemi węzły.

Gdy spojrzenia jego utkwiły w zielonych górskich krajobrazach, nagle usłyszał słabe i miłe dźwięki dobrze znanego sobie dzwonka. Biała koza wypadła z zarośli i utkwiła w niego zadziwione oczy.

To ukazanie się białéj kozy, przywiodło mu na pamięć cały szereg wspomnień... Nie chciał się w nie zapuszczać i odwrócił głowę aby po za krzakami więcéj ucieleśnionego nie ujrzeć widziadła.

Dojeżdżając do pałacu, przypomniał sobie że nagle wzruszenia nader zgubnie oddziaływają na wątłe organizmy, że turkot powozu przestraszy Maryę Annę i rozkazał stangretowi zatrzymać powóz o jakie pięćdziesiąt metrów przed kratą. Wysiadł prędko, przeszedł koło muru i wszedł na dziedziniec nie postrzeżony przez nikogo ze służby. Dopiero przed samym pałacem, zobaczył go i poznał jeden z lokai, lecz przez uszanowanie powstrzymał okrzyk zadziwienia.

Stefan skinął na niego i zapytał gdzie są panie.

— Pani margrabina, odpowiedział, wyszła do parku z panią Bernard, która dziś rano przyjechała z Bayonny, a pani de Vambry jest w szkole.

Zadziwiła Stefana ta nazwa którego salonu „szkoła"... nie przypominał sobie aby gdzieśkolwiek w pałacu istniał pokój tak przezwany; nie chcąc jednak wydać się ze swoją nieświadomością nie pytał więcéj, i nie pozwalając meldować swego przybycia, wszedł do pałacu.

Przed chwilą obawiał się aby Maryę Annę nie przestraszył turkot powozu, a obecnie ani pomyślał jak wstrząsającego mogłaby doznać wrażenia, gdyby niespodzianie spotkała go w przedsionku lub w którymś pokoju.

Stanąwszy w progu pałacu, uczuł nagle budzące się w sercu jego zawarte od kilku miesięcy wspomnienia; stanął mu w myśli dzień ślubu, po którym zaraz opuścił kobietę którą poślubił bez miłości i która miała być dozgonną jego towarzyszką... i nagle ogarnęła go jakaś nieprzeparta ciekawość zobaczenia jéj jak najprędzéj.

— Tam nieodwołalna przyszłość moja! pomyślał, nerwowym ruchem chwytając za klamkę, aby otworzyć drzwi prowadzące do salonu.

W salonie nie było nikogo.

Już miał go opuścić, gdy posłyszał dźwięki niewidzialnego fortepianu, na którym niewprawna jakać ręka kaleczyła „etiudę" Bertini'ego.

(d. n.)

Opis do N-ru 49.

(Dokończenie).

Robiąc od ręki prawej ku lewej, trzeba naprzemian 1 o. zdjąć, 2 gł. a o. zdjęte przewlec, zarzucić raz nitkę na drut. Następny rząd cały kręto. Po dwóch rzędach powinien uformować się deseń przedstawiony w połowie wielkości na ryc. 17 w N-rze 48. W dalszym rzędzie 54 o. robią się kręto, poczem obraca się robotę i przerabia 18 o. w powyżej opisany sposób, te 18 o. stanowi dolny środek pelerynki. W ośmiu następnych rzędach trzeba przybierać z obu brzegów, aby powiększyć liczbę oczek o 11, 10, 8, 7, 11, 10, 8 i 7. Rząd deseniowy powinien zawsze kończyć się zarzuceniem nitki na drut, która następnie przerabia się jak o. Całkowita szerokość pelerynki 90 o. wynosi, poczem obrobić 15 rzędów (wszystkich jest 26) w których przez stopniowe gubienie końce przednie powinny być śpiczaste. Ostatni rząd liczy 23 kratki deseniu wszerz a 12 l czące od środka wzdłuż. Po zakończeniu górny prosty brzeg nabiera się na sznelkę a skośne brzegi aż do frendzli zakończa 3 cent. szeroką 77 cent. długą sznelową plecionką. Frendzla jest 10 cent. długa.

N. 51. Kreza z plastronem, dla młodej panienki.

Plastron z indyjskiego muślinu liczy 22 cent. długości a 20 szerokości; przemarszczany jest w bufki 1 i pół cent. szerokie i oszyty z brzegów paseczkiem, który przeprowadzony na około szyi zapina się z tyłu. Pasek przykrywa bufka z koronki bretońskiej 7 cent. szerokiej, podwleczona kolorową wstążką i przeszyta w nagłówek 2 centym. szeroki. Z lewego boku przypięta kokarda z wstążki i koronki, ozdobiona gałązką kwiatów.

N. 53. Stanik z baskiną podciętą z boków.

Ryc. 53 przedstawia bardzo strojną suknię z ciemno zielonego atłasu i takiegoż deseniowego aksamitu. Stanik atłasowy ma baskinę z przodu przedłużoną nakształt bawetu z boków okrągławą, krótko podciętą a z tyłu stanowiącą długi frak. Efektowne przybranie stanowi wielki kołnierz aksamitny, podwójnie ogarnirowany koronką bretońską 6 cent. szeroką, z której upięty żabot i kokardy przy wykładach

Opis do N-ru 51.

N. 1. Ubranie strojne ze stanikiem z frakową baskiną.

Na modelu spódnica z długim trenem, z atłasu marynarskiego koloru, miała przód i boczne kliny wzdłuż drobno plisowane, a bryty tylne ogarnirowane falbaną 20 cent. szeroką, przez środek kilka razy drobno przemarszczoną. Okazała tunikowa draperya z marynarskiego broszowanego aksamitu była od dołu z przodu 11 cent. z tyłu nad trenem wzdłuż przymarszczona i kokardami ze wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej podpięta. Stanik atłasowy z frakową baskiną miał szeroki wykładany kołnierz i mankiety aksamitne, garnirowane koronką bretońską.

N. 2. Ubranie balowe ze stanikiem bluzkowym.

Blado niebieska tiulowa suknia z wyciętym bluzkowym stanikiem, ze spódnicą z trenem całą w bufki i draperye układaną ozdobiona była plisowanemi i riuszami tiulowemi. Pasek niebieski atłasowy. Przy staniku i we włosach róże blado różowe.

N. 5. Wycieraczka do piór, ozdobiona haftem krzyżykowym.

Podwójny kawałek sztywnego muślinu, mający 12 centym. wysokości a 13 szerokości, od spodu podszyty czarnym suknem, z wierzchu pokryty kolorowym atłasem, na którym z brzegów wyszyty jest wązki szlaczek, a w górnym zwierzchnim rogu, gałązka haftem krzyżykowym, zwija się w trąbkę czyli tutkę. Środek takowej zapełniają małe trójkąty sukienne w skośnym brzegu trochę zaokrąglone i w małe ząbki wycięte, następnie zwijane i ułożone sposobem wskazanym na ryc. 5. Kokarda z wązkiej atłasowej wstążki.

N. 6. Szczoteczka do falban plisowanych, ozdobiona haftem krzyżykowym.

Szczoteczkę kształtu pendzelkowego, urządza się z równo przyciętego pęczka słomek ryżowych, w środku mocno tasiemeczką związanego, mającego 15 cent. długości a w związaniu 9 cent. obwodu. Zwierzchnie pokrycie stanowią dwa paski sukna popielatego, 6 cent. szerokie a 18 cent długie, w górze i z jednego poprzecznego brzega w ząbki wycięte i kolorowym szlaczkiem ozdobione, które w środku są złączone i przepasane wstążką.

N. 7. Kosz do papierów ozdobiony haftem sznureczkowym.

Na 19 cent szerokim pasie materyi bronzowej podłożonej muślinem, haftowane są gałązki kwiatów filozelą bordo w dwóch cieniach ściegiem sznureczkowym. Brzegi podłużne szlaku objęte są aksamitem oliwkowym, następnie przewłóczy go się przez pręty środkowe kosza czarno lakierowanego, w ten sposób ażeby dwa pręty szły pod spód a dwa na wierzch, a w odstępie pomiędzy zwierzchniemi prętami wypadać powinna gałązka haftu. Na jednej z poprzecznych ścianek haftuje się monogram, na drugiej w środku gałązkę. W środek kosza daje się podszewkę z niebieskiej materyi; riusza i kokardy z niebieskiej wstążki. Kwasty z jedwabiu w mieszanych kolorach haftu i zwierzchniego pasa.



N. 1. Ubranie wizytowe z frakowym stanikiem. N. 2. Ubranie wieczorowe z bluzkowym stanikiem.

N. 10—11. Paletocik dla dziewczynki lat 10—11. Krój podług ryc. 19 i 20 w N-rze 47.

Rycina 10 przedstawia z przodu paletocik zapinany na jeden rząd guzików, odrobiony z „mousse popielatego, z pelerynką mającą 27 i pół cent. długości przedniej, 32 tylnej, a 116 cent. dolnego obwodu. Mankiety miały 11 cent. wysokości, a kieszonki 13 cent. wysokości a 18 szerokości. Pletnie czarne 1 cent. szerokie, służyły do oszycia. Guziki jasne z konchy perłowej. Wypustki z czarnego jedwabnego repsu.

Kilku rzędami naszyty gruby sutasz, zdobi paletocik bez pelerynki ryc 11, odrobiony z ciemno stalowego „double." Na plecach z kilku części złożonych naszyte są patki 25 cent. długie, z brzegów 4, w środku 3 cent. szerokie.

N. 12—13 i 3—4. Przykrycie na okno ozdobione szlakiem haftu połączonego z aplikacyą materyi i wyciętych figur haftowanych, podług wzoru z musée de Cluny w Paryżu.

Przykrycie na ławkę do okna odrobione było z ciężkiej adamaszkowej materyi, wodno niebieskiego koloru, (bleu ocan) i ozdobione pasem ciemno ponsowego aksamitu, wszytego w środek, na którym odrobiony był haft różnokolorowy. Bardzo wspaniale wyglądają różne rodzaje ściegów naśladujące dawne haftu, odrobione jedwabiami kordonkowemi i cienkim sznureczkiem złotym, obok których aplikacye z repsu i wycinanych figur haftu naśladują płasko rzeźbę. Aplikacyę haftowaną odrabia się w krośnach na grubem płótnie; po wywiedzeniu konturów przesnuwa się w równych odstępach cieniutki sznureczek które n sznurek podkład od podwójne nitki kordonku lub złota, układane wzdłuż i przeszywane w równych odstępach, ścieżkami jedwabiu tego samego koloru. Ściegi przeszycia w następujących rzędach, powinny mieniać się ze sobą jak to widoczne jest na próbce Nr 4, na której tak rodzaj haftu jak i przewłóczenie sznureczków jest dokładnie wskazane. Odrobiwszy powyższym sposobem długie liście widoczne na deseniu, kordonkiem złotego koloru, smaruje się płótno z lewej strony klajstrem, suszy, a następnie wycina, pozostawiając brzegi płótna za wywodzeniem. Wycięte figury przykleja się na aksamicie a następnie brzegi oszywa się złotym sznurkiem, którym wyszyte są także grubsze gałązki. Gdzieby płótno wyglądało z pod sznureczka złotego, trzeba go wyciąć starannie. Jasne części deseniu oznaczają aplikacyę z repsu łososiowego koloru, a ciemne z repsu niebieskiego i oliwkowego, wszystkie są najpierw naklejone a następnie przeszyte sznureczkiem złotym lub przyhaftowane ściegiem sznureczkowym. Haft na aplikacyę stanowią poprzecznie przewłóczone nitki złote przeszywane podłużnemi ściegami kordonku pawiego i oliwkowego koloru; próbkę tej roboty dajemy na ryc. 4. Model przykrycia miał 100 centym. szerokości, a 80 cent. długości wraz z frendzlą u dołu 12 centym. szeroką. Podszewka była z flaneli niebieskiej. Do szerszych okien można dać dwa pasy haftu a 3 pasy materyi.

N. 15. Kapturek na głowę. Robota w ramach drewnianych.

Lekka kapotka osłaniająca ciepło głowę, a nie gni e

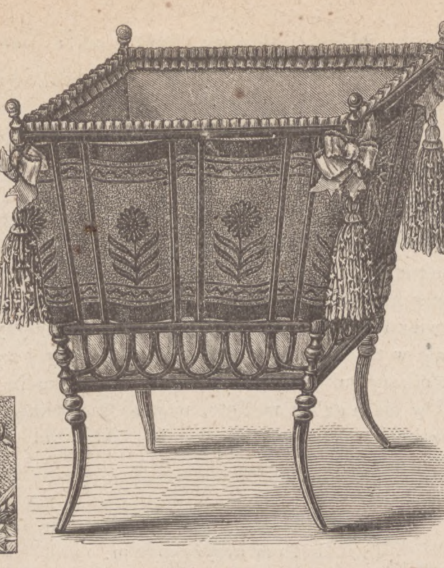
ca pukli lub kwiatów, upięta jest z białej włóczkowej, trójkątnej chusteczki wiązanej w ramach, podszytej białym fularem. Ubranie stanowi pas bufowanej białej materyi, naszyty przez środek, frendzla kuleczkowa i kokardy ze wstążki.



N. 3. Wskazanie wyszycia na aplikacyi w deseniu ryc. 13.



N. 5. Wycieraczka do piór.



N. 7. Kosz do papierów.



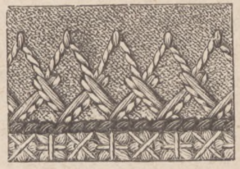
N. 6. Szczotka do falban plisowanych.

N. 16. Kapturek z trójkątnej, kaszmirowej chustki.

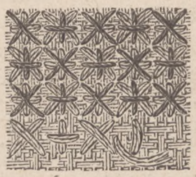
Kapturek upięty był z kolorowej kaszmirowej chustki, podszytej fularem, mającej w prostych brzegach 96 w skośnym 168 cent. długości; rogi były zaokrąglone. Brzegi zdobił szlaczek kolorowy wyszyty krzyżykami, który ze skośnej strony daje się tylko do przyszycia dyjademu, także haftem ozdobionego, mającego 56 cent. długości, w środku 8, z brzegów 4 szerokości. Dyjadem kraje się podwójnie, w środek wkłada się sztywny muślin, a po przyszyciu stawia go się w górę. Brzegi kapturka oszyte są puszkiem łabędzim, końce skrzyżowane z przodu a fałdy środkowe z tyłu, przepina się kokardą ze wstążki.



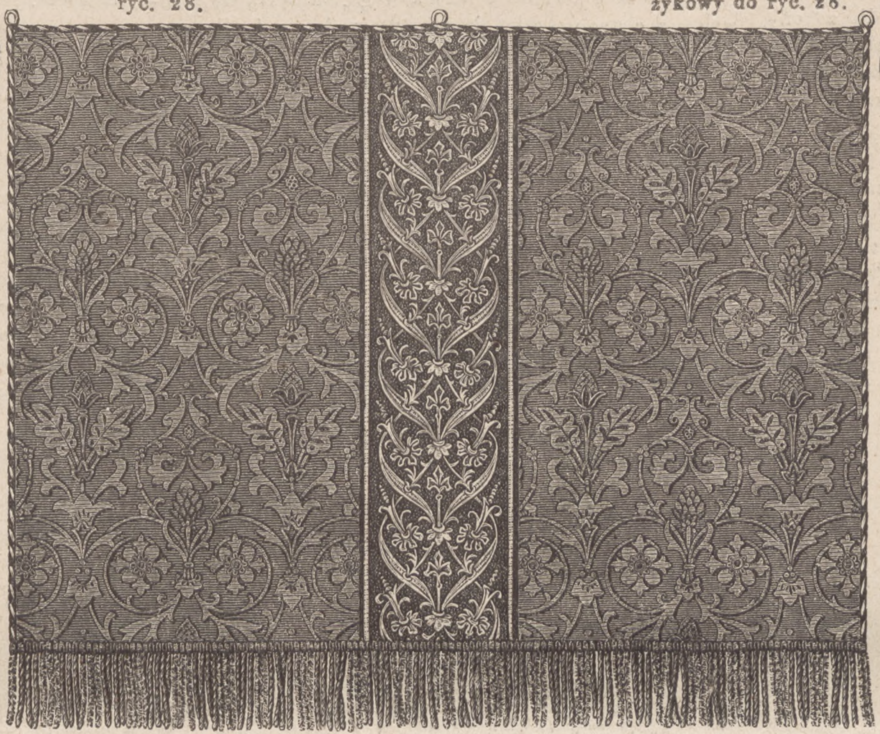
N. 10. Paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 6 do 8. Patrz r. 11.



N. 8. Szlaczek do ryc. 28.

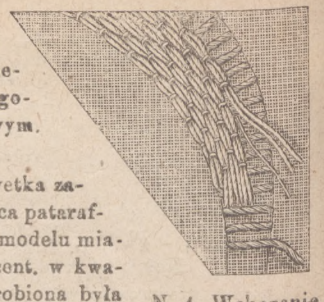


N. 9. Ścieg krzyżykowy do ryc. 28.



N. 12. Przykrycie do okna ozdobione pasem haftowanym i wyszyciem na materyale. Patrz ryc. 13.

N. 17 i 22, oraz ryciny 24 i 35 w N-rze 52. **Serwetka z kratką ażurową i szlakiem robionym ściegiem gobelinowym.**



N. 4. Wskazanie wyszycia liści w szlaku ryc. 13.

Serwetka zastępująca patarafkę, na modelu miała 20 cent. w kwadrat; robiona była na płótnie białem średniej grubości. Rycina 22 przedstawia próbkę szlaku gobelinowego, którego figury robi się naprzemian kolorem szafirowym i ponsowym, w odstępie 1 cent. Po brzegach szlaku dodane jest wyszycie ściegiem długim, którego próbka zamieszczona także na ryc. 22. Tło zapełnia kratka ażurowa, robiona na płótnie wyciąganem w kratkę; trochę powiększoną próbkę tej roboty, przedstawia dokładnie rycinie 35 w N-rze 52, a próbkę frendzli i sposób jej wiązania ryc. 24.



N. 11. Paletocik dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 10.

N. 19. Krawatka z muślinu i bretońskiej koronki.

Krawatka z indyjskiego muślinu 21 centym. szeroka, z podłużnych brzegów wązką koronką oszyta, z poprzecznych wycięta w dwa zęby 9 cent. głę-

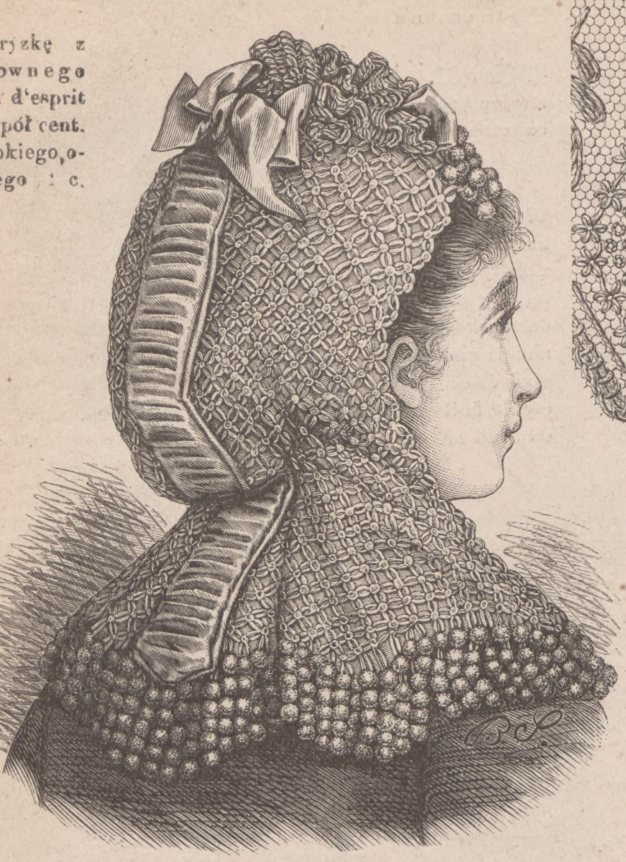


N. 23. Szlak do ryc. 12 wyszyty podług wzoru z paryzkiego musée de Cluny. Patrz ryc. 3 i 4.

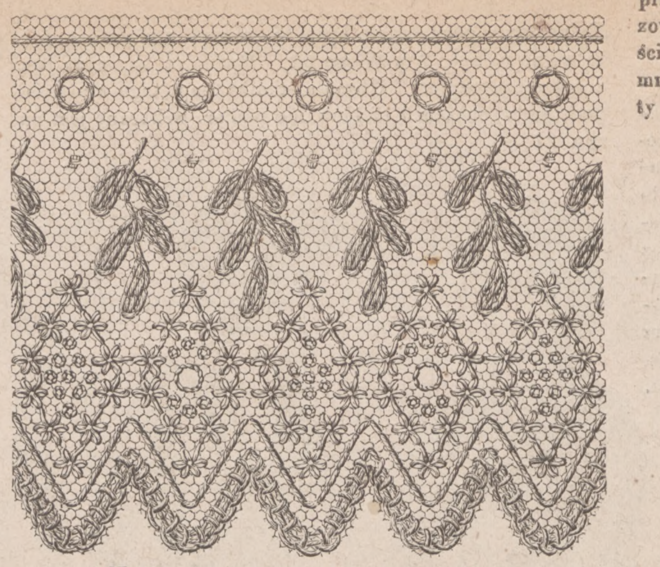
bokie i oszyta wązką wstawką i szeroką bretońską koronką, ma końce ułożone w kontrafałdę i lekko przyfastrygowane.

N. 20. Fryzka i żabot.

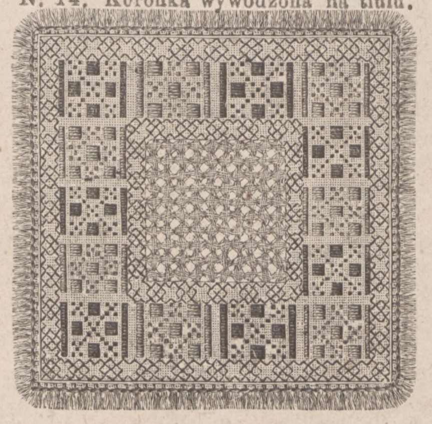
Fryzkę z klarownego tiulu d'esprit 4 i pół cent. szerokiego, oszytego : c.



N. 15. Kapotka robotą w ramach.

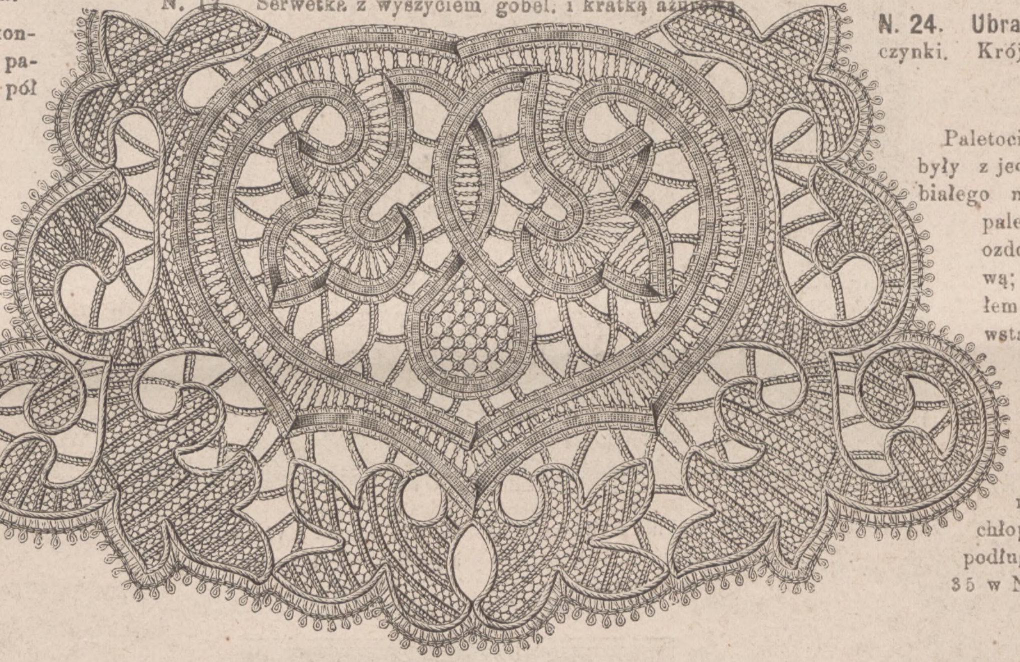


N. 14. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 17. Serwetka z wyszyciem gobel. i kratką ażurową.

szeroką koronką, układa się w poczwórne kontrafałdy 4 centym. szerokie, i przyszywa do paska muślinowego 38 cent. długiego a 3 i pół szerokiego. Na żabot służy trójkątny kawałek muślinu, mający w prostych brzegach 24 centym. długości, oszyty w koło takim jak fryzka tiulem z koronką, 9 cent. szerokim, trochę przymarszczonym. Następnie muślin układa się w fałdy wachlarzowe i przyszywa do złożonego w kilkoro, paska sztywnego tiulu, 6 cent długiego a 3 szerokiego, na którym w górze naszyta jest jeszcze kilka razy koronka, przepięta w środku węzłem muślinowym.



N. 18. Zakończenie koronkowe do krawatki.



N. 19. Krawatka z indyjskiego. muślinu ozdobiona bretońską koronką.

N. 21. Haft na aksamicie, na poduszki, portjery i t. p.

Deseń ten efektowny a do wykynania bardzo łatwy i pospieszny, odrobiony był na ciemno brunatnym aksamicie, włóczkami i filozelą. Kratka odznaczona była włóczką oliwkową do cieniu, przeszywaną poprzecznie pojedynczą nitką włóczki bronzowej. Liście robione dwoma trawno zielonemi cieniami, ściegiem długim dzierganym, miały żyłki i gałązki ciemniejsze zielone, robione ściegiem sznureczkowym. Kwiaty naprzemian blado różowe i złoto żółte robione były także śc. dzierganym, i dwoma nitkami filozeli w dwóch cieniach.



N. 16. Kapotka z chustki trójkątnej.

N. 24. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 19 i 20 w N-rze 27 Tygodnika Mód.

Paletocik, mufka i czapeczka, odrobione były z jednakowego miękiego, włochatego, białego materyału. Kołnierz i mankiety paletocika białe atłasowe, przód i dół ozdobiony torsadą i frendzlą kuleczkową; mufka i czapeczka obłożone białem futerkiem lub puszkiem i ubrane wstążką białą atłasową.

N. 25. Ubranie spacerowe dla małego chłopca. Krój podług ryciny 35 w N-rze 47.



N. 20. Kreza i żabot.

Paletot z czarnego „double" z kołnierzem i mankietami z krymskich baranków; czapeczka aksamitna obłożona barankami.

N. 26 Ubranie z tuniką podpiętą z boku. Zobaczyć plecy na ryc. 10 w N-rze 52.

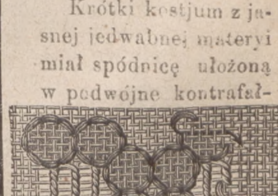
Krótki kostjum z jasnej jedwabnej materyi miał spódnicę ułożoną w podwójne kontrafał-



N. 21. Haft na aksamicie, na poduszki, taborety, podnóżki i t. p.



N. 22. Szlaczek gobelinowy do ryc. 17.



N. 23. Część wyszycia do ryc. 23 w N rze 52.



dy; spódniczkowa tunika, obłożona była aksamitem w deseń wytłaczany, tego co suknia koloru. Obłożenie stopniowo zwężone z boków, oszyte było w górze koronką białą i czarną. Stanik z frakową baskiną z tyłu, a z przodu z bawetem, miał kołnierz i mankiety aksamitne, garnirowane koronką. Kokardy ze wstążki repsowej.

N. 27. Ubranie z vêtement à panier. Zobaczyć plecy na ryc. 7 w N-rze 52.

Suknia kaszmirowa koloru ,,ivoire" ubrana była blado niebieską materyą jedwabną. Od góry przedni bryt spódnicy pokryty był plisowaniem z kaszmiru, zakończonem wązką, drobno plisowaną falbanką z materyi niebieskiej, u dołu jedno plisowanie z materyi, drugie z kaszmiru. Tylne bryty powłóczyste kraje się razem z vêtement, jak to widać na ryc. 7 w N-rze 52. Spódnica zapinana jest z boku pod panier. Ubranie stanika zapiętego z przodu pod garnirunkiem i sfałdowanie panier wskazane jest na ryc. 27.

N. 24. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki. Krój paletota podług ryc. 19—20 w N-rze 47.



N. 26. Suknia z tuniką podpiętą z boku. Patrz ryc. 10 w N-rze 52.

N. 27. Suknia z vêtement à panier. Patrz rycina 7 w N-rze 52.

N. 28. Wzór na poduszkę do kanapy. Haft krzyżowy na kanwie Jawa, zwanej ,,Aida." Tło środkowe z pluszu.

N. 29 i 32. Ubranie strojne ze stanikiem bawetowym i draperyą à panier.

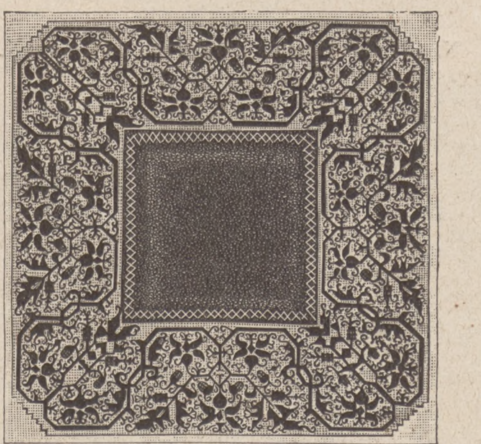
Model strojnej sukni odrobiony był z blado różowej materyi gładkiej i adamaszkowej. Nie mniej pięknie wyglądać będzie połączenie faille z atłasem lub aksamitem gładkim lub deseniowym. Górną część panier złączoną z ubraniem przodów kokardą, upina się na staniku w ten sposób, iż z przodu wygląda tylko bawet, a z tyłu panier schodzi się pod kokardą, na baskinie pleców. Drugie części panier i draperya tylna, upięte są na suto garnirowanej spódnicy.

(d. n).



N. 25. Ubranie spacerowe dla chłopczyka. Krój podług ryc. 35 w N. 47.





N. 28. Haft na kanwie Jawa ze środkiem pluszowym.





N. 29. Ubranie strojne wyzytowe ze stanikiem bawetowym zakończonym a panier. Patrz ryc. 32.

N. 30. Plecy do ryc. 31.

N. 32. Przód do ryc. 29.

N. 31. Ubranie strojne wizytowe. Patrz ryc. 30.